

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



Janina Wieczerska

# **PORADNIK DLA LENI**

czyli  
jak robić, żeby zrobić, a się nie narobić



## SŁOWO WYJAŚNIENIA

Surowi protestanci uważali lenistwo za źródło wszelkiego zła i kazali nawet czteroletnie dzieci zapędzać do pracy, żeby im nie świtały w głowie głupie myśli. Katolicy są łagodniejsi – lenistwo figuruje wprawdzie w katalogu siedmiu grzechów głównych, ale na ostatnim miejscu. No i słusznie: nieporównanie więcej zła i cierpienia przysparzają światu dwa arcygrzechy pierwsze: pycha i chciwość. Lenistwo jest przywarą młą, pasywną, rodzi przede wszystkim grzechy zaniechania i bardziej szkodzi grzesznikowi niż bliźnim. Jak to stwierdził La Rochefoucauld: „Wydaje się, że to szatan położył lenistwo na granicy wielu cnót”.

Co do mnie, to choć uważam pracowitość za wielką cnotę, do lenistwa odnoszę się po katolicku, czyli tolerancyjnie. Mam nawet pewną słabość do beztroskich leni, a szczerzy podziw dla pomysłowości tych, którzy potrafią tak robić, żeby zrobić, a się nie narobić.

W każdym z nas tkwi kawał lenia i powiedziałabym: „a niech sobie tkwi”, gdyby nie to, że ten łobuz, zamiast nam uprzyjemniać życie, odciągając od bezustannej harówki, potrafi przysparzać kłopotów, zmartwień, paradoksalnie także - dodatkowej roboty, a nawet cierpień. I to w stopniu nieraz większym niż pedantyczna obowiązkowość, maniacka pracowitość, itp.

Dlatego trzeba go trzymać w ryzach, wyprowadzać w pole, przechytrzać. Pomocy w przechytrzaniu ma dostarczyć ten „Poradnik”, oparty przede wszystkim na osobistym doświadczeniu w potyczkach z własnym, a częściowo też i cudzym lenistwem.

## ZWIĘZŁA TYPOLOGIA LENI

Nie wdając się w zbyt szczegółowe rozważania, w populacji leni można wyróżnić trzy typy:

1. Leń absolutny: osobnik czujący stanowczą niechęć do wszelkiej pracy. Psychologowie uznają niemal jednomyślnie taką niechęć za chorobę. Nie są zgodni co do jej przyczyn, zaś potoczna mądrość poprzestaje na zrezygnowanym stwierdzeniu, że mówiąc stylem młodzieżowym: „facet po prostu tak ma”. Zarówno naukowcy, jak profani nie znają skutecznego lekarstwa na lenistwo absolutne. Mogę tylko współczuć rodzinom, gdzie takie indywiduum się pojawi.

Istnieją dwie odmiany leni absolutnych: leń wesoły i leń ponury. Wesoły to taki, który tylko się bawi. Może być z niego pewien pożytek, jako z „duszy towarzystwa”. Ten drugi natomiast przypomina egzemplarz z wierszyka Tuwima: „Na kanapie siedzi leń, nic nie robi cały dzień”. A nic nie robiąc, jednak robi: truje i irytuje swoim nieróbstwem.

Leniami absolutnymi w tym poradniku zajmować się nie będę, bo byłby to czas stracony: leniowi i tak nie będzie chciało się przeczytać.

2. Kryptoleń: leń ukryty, zamaskowany, nie cierpiący nie tyle pracy, ile obowiązków; gotów robić niesłuchanie dużo, byle nie to, co do niego należy. Przyczyny kryptolenistwa mogą być różne, czasem dziedziczne. Np. potomek „panów” będzie z zasady uważał obowiązkową pracę za coś poniżej jego godności, potomek chłopów pańszczyźnianych, sam o tym nie wiedząc, uprawia strategię życiową opisaną w „Satyrze na leniwych chłopów”: „A robią silno obłudnie: ledwo wynidą pod południe, [...] pług stoi na roli, w lemiesz klekce: Rzekomoć mu pług orać nie chce...”

Najczęściej jednak przyczyną kryptolenistwa bywa źle wybrany, nielubiany zawód (oprócz źle wybranego współmałżonka jedno z największych nieszczęść, jakie człowieka może spotkać) lub wygórowane ambicje. Dlatego kryptolenie, nie mając szans na olśniewający sukces w uprawianym zawodzie, bardzo gorliwie garną się do tzw. pracy społecznej lub polityki. Czasem okazuje się, że „to jest to” i wymarzony sukces jednak osiągają. Bywa jednak i tak, jak na rysunku Mleczki. Oklapnięty osobnik zwierza się przy wódce: „Myślałem, że choć rządzić potrafię, ale i to spieprzyłem”.

Z kryptolenistwa, przy ciężkiej pracy własnej i jeszcze cięższej fachowego psychologa można by się wyleczyć. Pod warunkiem, że się chce. Felieton na to nie pomoże.

3. Pseudoleń: człowiek przeciętnie pracowity, obowiązkowy, a jednak zapadający od czasu do czasu (jak na grypę) na lenistwo absolutne bądź kryptolenistwo. Czyli (wyłączywszy dwa opisane wyżej typy) – każdy z nas. Jego nibylenistwo naraża go na zarzuty i wyrzuty ze strony nietolerancyjnego otoczenia, odbierane boleśnie, bo przecież tak naprawdę leniem nie jest, to tylko wirus lenistwa jakoś się w nim uaktywnił. Działalność tego wirusa sprawia także, że odczuwamy wyrzuty sumienia i sami się nimi zadreczamy. Otóż tego wirusa można wyminąć, opanować, ograniczyć mniej więcej tak właśnie jak grypę. Ale, jak z grypy nieleczonej, można też wpakować się w stan o wiele gorszy. Więc spróbujmy przyjrzeć się stanom zarówno „grypowym”, jak i „przedgrypowym”, by tolerując takie lenistwo, nie przekroczyć jednak granic ryzyka.

## STAN NIEMOŻNOŚCI

*Motto: Bywają wiosny i l a t a,  
kiedy nam się nic robić nie chce.  
(z „Przekroju”)*

Pseudolenistwo, które ogarnia ludzi normalnie pracowitych (czasem nawet bardzo) i obowiązkowych (jak wyżej), podzielić można na okresowe i sytuacyjne. Pierwsze to stan scharakteryzowany w maksymie użytej tu jako motto, drugie – to odraza, niechęć do określonego zadania, pracy, obowiązku. Lenistwo okresowe jest stanem przykrym i trudnym do zwalczania, więc najpierw o nim.

Któż go nie przeżywał! Wszystko nam się wymyka z rąk, każda praca wydaje się bez sensu albo ponad siły, snujemy się po domu, głupekowato patrząc w okno albo w sufit, pijemy kawę za kawą niby dla podkreślenia energii, a w istocie dla pozorów, żeby czas jakoś przeszedł. Im dłużej to trwa, tym jest nam gorzej, bo przecież z każdym dniem przybywa zaległości, sami sobie stajemy się niemili, zaczynamy uważać, że w ogóle jesteśmy do niczego...

Bliskich ten stan niepokoi, jeszcze bardziej irytuje. Bo co zrobią, to źle: obchodzą nas ostrożnie z daleka – czujemy się opuszczeni. Krzyczą na nas – uważamy się za skrzywdzonych i niezrozumiałych. A dobre rady typu „weź się w garść” są akurat tyle warte, co rada Sowy Przemądrzałej (z „Kubusia Puchatka”): „W procesie tonięcia ważną rzeczą jest trzymanie głowy nad wodą”. Dobre – sobie myślimy – przecież rzecz w tym, że właśnie za cholere nie możemy wziąć się w garść!

Stan taki ma ukryte przyczyny. Na Zachodzie idzie się wtedy (albo prowadzą nas) do psychoanalitka, tutaj musimy sobie radzić sami. Czasem pomagają nam samo życie: przychodzi dawno zamówiony malarz, trudno, wobec takiego kataklizmu musimy się ruszyć, bo zginie. Albo zjeżdżają goście – tu też nie ma wyjścia, bierz siatkę i leć po cielęcinę, gotuj, nakrywaj, zmywaj, bo to ani się samo nie zrobi, ani na nikogo nie zwalisz.

Potem malarz kończy robotę, goście wyjeżdżają, w tobie zaś rośnie duma, że proszę, wprawdzie padasz na pysk, ale dałeś radę – i dalej już leci. Człowiek jest odczarowany, zły urok przeszedł, fatalna passa przerwana.

Otóż czasem udaje nam się taki zbawczy kataklizm jak malarz lub goście z premedytacją sprowokować. Człowiek przez całe życie prowadzi, świadomie i podświadomie, pewien rodzaj gry z losem i z sobą samym. Kręci bat na siebie i hoduje dla siebie marchewkę. Będąc w niżu, najczęściej, niestety, kopie sobie dołek jeszcze głębszy. Tak aranżuje sytuację, żeby zamiar się nie powiódł i żeby potem móc powiedzieć: „sami widzicie, nic mi się nie udaje”. Zagrywa w kontaktach z ludźmi w tym kolorze, żeby ich zrazić i triumfować: „Wszyscy mnie gnębią”. To robi się spontanicznie, tego nie trzeba nikogo uczyć.

Można jednak też, choć to wymaga większej znajomości samego siebie i sprytniejszej taktyki (znowu – wobec samego siebie) aranżować sytuacje, w których musi nam się udać. Przyjąć sposób postępowania, który kryptolenie stosują przez całe życie. Na przykład: choć w domu leży stos listów czekających na odpowiedź, kosz z brudną bielizną aż kipi, lodówka pusta, a my już trzeci dzień wysyłamy rodzinę na obiad do baru, ni z tego, ni z owego, oferujemy się z pomocą znajomej przy, dajmy na to, chrzcinach. Znajoma jest uszczęśliwiona, chwali nas i dziękuje, wracamy od niej z zadartym nosem i podniesioną głową. Z rozpędu, na fali, kupujemy po drodze wołowinę i to taką, której szkoda zmarnować na głupi gulasz, pakujemy się więc w robienie zrazów, jakoś mimochodem, kiedy zrazy się

duszą, wrzucamy do pralki to nieszczęsne pranie... Podobny zabieg, powtórzony parę razy, może nam na tyle podnieść samoocenę, że mężnie i przytomnie zabierzemy się i do odpisywania na listy, co może okazać się zajęciem przyjemnym.

Bo generalnym sposobem na przełamanie lenistwa okresowego jest w ogóle przeżycie czegoś przyjemnego.

Opisany pokrótce stan niemożności, kiedy to nic nam się nie udaje i niczego nam się robić nie chce, ma najczęściej poważne przyczyny psychiczne. Wyrwać nas z otepiałej niemożności może albo przypadek-konieczność, kiedy to po prostu musimy i już, albo niespodziewany sukces, albo i pseudosukcesik, zaaranżowany przez nas samych. Roli tzw. pomocnej dłoni też nie należy wykluczyć, choć raczej nie radzę na nią liczyć.

Zdarza się jednak i tak, że ręce nam opadają i popadamy w bezradną beczynność z powodów całkiem zwyczajnych, życiowych. Przez zbieg okoliczności, przez błędne obliczenie sił, przez lekkomyślność, przez nieumiejętność odmowy itp. zaczyna się na nas walić taka lawina roboty, że nie mogąc podołać wszystkiemu, w końcu nie robimy nic. Ogarnia nas totalne lenistwo. Oczywiście – pseudolenistwo. Prawdziwy leń nie martwi się, że nic nie robi. Kryptoleń udaje, że robi, ale wyszukując sobie przeróżne zajęcia (byle nie wykonywać tego, co do niego należy) nie traktuje ich serio, po prostu, jak mówi młodzież: olewa. Natomiast normalnie obowiązkowy i pracowity człowiek cierpi z powodu niechcianego nibylenistwa, z powodu niewykonania tego, co sobie założył i co na siebie przyjął.

W „Dziennikach” Marii Dąbrowskiej (która była człowiekiem w ogóle pracowitym i uważającym pracę za wartość moralną) mamy przejmujące opisy takiego stanu: „Znowu całe przedpołudnie przy biurku i tylko pół strony”. „Dzień zeszedł mi na niczym, na błakaniu się po mieszkaniu, XXV rozdział nadal nie rozpoczęty”. „Nie poszłam do S., bo XXV rozdział”. „Nie poszłam na koncert, bo XXV rozdział”. I mimo tych wyrzeczeń XXV rozdział nie ruszał z miejsca.

Otóż myślę sobie (i czasem nawet praktykuję), że kiedy nam się nic robić nie chce, to – nie róbmy. Tylko się tym nie trujmy! Powiedzmy sobie: „Nie to nie, nie daję rady z tym, co muszę zrobić, to niech przynajmniej robię to, co chcę.”

Maria Dąbrowska, zamiast męczyć się przez cały wieczór siadaniem i wstawaniem od biurka, mogła spokojnie iść na wymarzony koncert. Rozdziału XXV i tak by siedząc w domu nie napisała, a przynajmniej zaliczyłaby piękne przeżycie.

Maksyma „człowiek może tylko tyle, ile może” bywa oczywiście wymówką dla leni, ale pseudoleniom może przynieść ulgę i nawet zbawczy przełom. Przekonałam się parę razy, nie bez zdumienia, iż nieprawdą jest, że „roboty sama się nie robi”. Jeśli coś ważnego musi zostać zrobione (bądź w pracy, bądź w domu), w końcu robi to ktoś inny. Jeśli zaś nie robi – to znaczy, że mogło być nie zrobione i świat się nie zawalił. Tak czy owak obezwładniająca lawina zadań trochę się poluzuje i zaczniemy odzyskiwać swobodę ruchów.

Wśród wielu anegdot o Janie XXIII jest i taka:

Skołatany papież skarży się: „Panie Boże, mam zrobić to i tamto, i jeszcze tamto, i zupełnie nie daję rady, jestem do niczego”. Na to odzywa się głos z nieba: „Nie bądź taki ważny, Giovanni!”.

Nie czujmy się tacy ważni. Powiedzmy sobie za anglosasami; „Take it easy”. Jeśli ogarnia nas nieprzewycięzalne lenistwo – poddajmy mu się i uwierzmy, że czas to najlepszy lekarz. Nawet katar się kiedyś kończy, chociaż po dwóch dniach spędzonych z chusteczką przy nosie wydaje nam się, że będzie nas męczył wiecznie.

## „MÓGLBY, CHCIAŁBY, PRAGNAŁBY, GDYBY...”

Jest taki rysunek Mleczki: pod parasolem małżeństwo inteligenckie w średnim wieku. Pan mówi: „Od poniedziałku, najpóźniej od środy – jeśli nie będzie padało – wezmę życie za kark!”.

Gdyby ów pan odkładał do środy, i to koniecznie bezdeszczowej, dajmy na to skopanie ogródka czy oddanie płaszcza do czyszczenia, i tak zyskałby u nas tylko niewysoki i krótkoterminowy kredyt zaufania. Ale uzależniać od pogody coś tak zasadniczego, jak „branie życia za kark”? Wolne żarty... Nigdy tego nie weźmie poważnie.

Pan z rysunku Mleczki należy do pominiętego w rozważaniach wstępnych typu półleni. Jest to krzyżówka lenia absolutnego z pseudoleniem, a więc normalnym człowiekiem, chorującym „na lenia” tylko od czasu do czasu, i to nie bez powodu. Półlenia od lenia absolutnego różni to, że owszem, pracuje, owszem, ma nawet pewne osiągnięcia, ale jest to zaledwie połowa osiągnięć leżących w jego możliwościach. A także – co okazuje się z czasem bardzo ważne – połowa jego ambitnych planów i wyobrażeń o swojej wartości.

Pał go sześć – moglibyśmy powiedzieć – choć pracuje na pół gwizdka, ale lepsze pół niż nic. A że nie wykorzystuje swoich możliwości i zdolności, tylko zapewnia, że „mógłby, chciałby, gdyby” i odkłada realizację tego, co mógłby, do środy – „o ile nie będzie padało” – to w końcu jego sprawa. Skoro odkłada, to widać mu z tym dobrze, nigdzie nie jest napisane, że człowiek koniecznie musi „dać z siebie wszystko”.

Tak też argumentuje półleń, gdy mu bliscy lub przełożeni robią wyrzuty. Argumentów w ogóle ma dużo, i to takich na wysokie C: że „woli być niż mieć”, że „Ten pan, zdaniem moim, kto przestał na swoim”, że lepsza szara ucziwość niż błyszcząca kariera i kradzione bogactwo.

Piękne to bardzo, o ile jest szczere i prawdziwe. Tylko że u półlenia nie jest. To jego alibi, bo półleń, niczym kot Makawity z uroczego wiersza Eliota, „zawsze ma alibi, dwa albo trzy do tego”. Tym drugim jest intryga, uniemożliwiająca pozytywne działanie, trzecim – brak warunków („jeśli nie będzie padało”).

Półleniami można by się w ogóle nie zajmować, gdyby nie to, że półleniostwo jest i zaraźliwe, i trujące. Dotknięty nim osobnik, kiedy się opatrzy, że najlepsze lata i okazje przeleciały mu między palcami, widzi, że wylądował kiepsko. Budzi się w nim zawiść, że innym poszło lepiej, i dalejże przekłamywać świat i ludzi, żeby mu się teoria zgadzała z praktyką. Coraz mniej mówi o tym, że mu nie zależy na statusie, coraz więcej – że kto się dorobił, ten złodziej. Staje się bardzo zawzięty w podważaniu cudzych zasług, a jeśli dochrapał się jednak stołka kierowniczego – pryncypialnie tępi tych, którzy mogliby okazać się lepsi od niego. Opowiada, jak to go wykończyli, bo nie chciał ugiąć karku, a „w ogóle, panie, to nic się nie da zrobić, nie warto nawet próbować”.

Te sentencje trafiają na podatny grunt, bo nie da się zaprzeczyć, że przykładów złodziejstwa, intryg, tępienia ludzi zdolnych i z własnym zdaniem, triumfu obrotnych miernot życie dostarcza nam pod dostatkiem. Półleń, sypiąc nimi jak z rękawa, dosmuca nas i podtruwa, i ani się obejrzymy, a sami staniemy się półleniami. Nie wyjdzie nam to na dobre, bo półleń (w przeciwieństwie do lenia absolutnego, który przynajmniej bywa bez troski) chodzi stale skwaszony, a nawet nieszczęśliwy. No i półlenie strasznie obniżają poprzeczkę naszych własnych wymagań wobec siebie i życia, czego skutki widzimy dokoła.



Ze stanu pólennictwa może osobnika wyrwać albo sytuacja przymusowa, kiedy nie ma innego wyjścia, jak się spiąć, albo olśniewająca szansa, co jednak trafia się rzadko. O własnych siłach nie wygrzebie się nigdy. Jeśli nie życzymy sobie być pólenniami, to tępy u siebie wczesne objawy tej przypadłości, a osobników w stadium rozwiniętym starajmy się nie brać całkiem serio.

## NUDA – WRÓG CZY SOJUSZNIK?

Charles Baudelaire, poeta, dandys, dekadent, znany przede wszystkim z cyklu wierszy pt. „Kwiaty zła”, pod każdym względem więc człowiek odległy od belferstwa i moralizatorstwa, zapisał w swoim dzienniku zdanie dlań zdumiewające: „Trzeba pracować, bo jak się zastanowić, praca jest jeszcze najmniej nudna ze wszystkiego”.

Święte słowa, ale mogły przyjść do głowy tylko człowiekowi, który pracować nie musiał, którego największym zmartwieniem było zabijanie czasu. Nam, zabieganym, popędzanym przez budzik i budżet, myśl o tym, że rozrywki i próżniactwo mogą człowieka śmiertelnie znudzić, raczej nie świta. Jeśli nawet nudzimy się na wczasach, to winę przypisujemy pogodzie, brakom w infrastrukturze kurortu, nieciekawemu towarzystwu, a także – własnemu zapracowaniu. „Taki człowiek wciąż zaharowany, że kiedy wreszcie może odpocząć, rozerwać się, to już po prostu nie umie”.

To też prawda. Bo – jak można wnioskować z osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych powieści z wyższych sfer, próżnowanie to wielka sztuka, którą nie każdy umie opanować, której trzeba się uczyć, w którą trzeba włożyć nieraz dużo wysiłku, oczywiście głównie umysłowego. Zwiedzanie uroczych miejscowości, słuchanie muzyki, kontemplowanie obrazów w galeriach – to przecież może być śmiertelnie nudne dla kogoś, kto nie zadał sobie przedtem trudu nauczenia się, jak słuchać Mozarta, patrzeć na obrazy czy choćby prowadzić interesującą rozmowę. O tym, podejrzewam, myślał Baudelaire, mówiąc „Trzeba pracować”, a nie o pracy kancelisty czy drwala.

Od połowy bieżącego stulecia, kiedy w społeczeństwach obfitości w zasadzie zniknął problem „z czego żyć”, pojawił się nowy, nader – okazało się – dotkliwy i do dziś nie rozwiązany: „w co się bawić, w co się bawić?” Społeczeństwa te są nastawione na konsumpcję, pracuje się po to, żeby mieć komfort i rozrywkę. Odkryto więc szybko, że na nudzie innych można robić ciężki szmal, powstał cały kompleks przemysłu i usług rozrywkowych, krótko, by sparafrazować słowa Hamleta: „Ktoś haruje, by mógł się bawić ktoś”.

Nuda tedy może być wrogiem lenistwa, a sojusznikiem pracy. Wiemy o tym zresztą i z naszego, dość jak na razie skromnego doświadczenia. Trafia się jakaś deszczowa sobota, kiedy to ani jechać na działkę, ani w ogóle wyjść z domu nie można, w telewizji nic nie ma, do czytania też nie, bo przecież jesteśmy tak przepracowani, że przestaliśmy i kupować, i wypożyczać książki, członkowie rodziny, zamiast nas lub siebie czymś zająć, łążą z kąta w kąta z kwaśnymi minami. Tym sposobem znudzenie każdego z osobna już nie to, że się dodaje, ale mnoży czy wręcz potęguje.

W końcu nie wytrzymujemy, machamy ręką na powzięte uprzednio postanowienie, że ten dzień miał być wyłącznie dla odpoczynku, że żadna siła nie zmusi nas do roboty. Wszystko lepsze niż nuda! Nawet nie lubiana, odkładana na święty nigdy praca, jak np. uporządkowanie pawlaczy albo umocowanie poluzowanych gniazdek w kuchni i w łazience. Każdy zresztą ma inny rodzaj prac, wrzucanych, by tak rzec, na samo dno najniższej szuflady.

Nuda więc, powtarzam, gdy nas dobrze przyciśnie, może być wrogiem lenistwa. W ogóle jest nim częściej, niż nam się potocznie zdaje, nie tylko w wypadkach tak skrajnych, jak wyżej opisany. Ale nie chcę tu nikomu wmawiać, że każda praca jest ciekawa, i że to po prostu rozkosz mieć dużo do roboty. Istnieją zajęcia tak nudne (różne dla różnych, to zależy

od człowieka), że właśnie wiejąca od nich nuda staje się czynnikiem „leniogennym”. Otóż istnieją pewne chwytły, pozwalające wprowadzić do nudziarstwa element zabawy, wręcz rozrywki. O nich na następnych kartkach.

## NUDA I ZABAWA

Podejrzewam, że wiele Zoś i Jasiów nie je kaszki nie z powodu braku apetytu, tylko że to straszliwie nudne. W każdym razie tak by wynikało z moich wspomnień z dzieciństwa. Nie należałam nigdy do plemienia tzw. niejadków, a jednak skądś znam „zagadywanki” uprzyjemniające jedzenie („jedzie, jedzie samochód – buch, wjechał do garażu”), a przede wszystkim – pamiętam siebie nad talerzem kaszki na półgęsto z sokiem malinowym, której tym bardziej nie chciało ubywać, im piękniej było za oknem. Wymyśliłam sobie wówczas taką zabawę: kaszka to była lawa, sok malinowy – lawa rozżarzona, moja łyżka – to koparka, która miała utorować drogi przez zalane tereny, i to tak, żeby żar ich nie dotknął. Więc najpierw szybka, błyskawiczna akcja przez środek (kaszka z sokiem napierała z obu stron na przekop), potem poszerzenie przejścia, następnie sprytnie podkopy pod zastoiny „żaru” i tak jakoś przy tych sapersko-ratowniczych działaniach „lawą” dzięki Bogu zniknęła i ukazywało się dno talerza, a na nim domek z ogródkiem i buda z psem, pogodne i bezpieczne.

Ta zabawa z kaszką przypominała mi się przy arcynudnej robocie, mianowicie przy zdzieraniu żyletką olejnej lamperii w korytarzu. Lamperia była odporna na wszelkie inne zabiegi, no więc trudno – ostukiwałam ją drewnianym młotkiem i delikatnie podważałam żyletką. Wymagało to skupienia i nie pozwalało na „myślenie o czymś innym”, co zwykle umiła mi prace czysto mechaniczne. Miałam przed sobą kilkanaście metrów tej lamperii – jak to wytrzymać? Więc wyobraziłam sobie, że oczyszczone nieregularne kawałki to wyspy, między którymi konieczne jest połączenie lądowe. Z wysp robiły się archipelagi, kontynenty, co dało nowy impuls fantazji: „Jeśli pociągnę żyletką w prawo, to to już będzie Australia. Psiakrew, za dużo poleciało. No to jeszcze trochę w dół, jak dobrze pójdzie, to może być Afryka...”

Wiele nudnych zajęć można obrócić w zabawę. W czasie praktyki studenckiej w bibliotece dano mojej koleżance i mnie stosidło kartek katalogowych do ułożenia w porządku alfabetycznym z dokładnością do czwartej litery. Kartki kojarzyły się nam z kartami do gry, rozkładanie – z pasjensem. Brałyśmy losowo ze stosu mniej więcej równe porcje i dalejże układać – wyjdzie czy nie wyjdzie? „Siła fachowa” siedząca nad tą samą robotą przy biurku pod oknem nudziła się przez ten cały czas potwornie, patrzyła na ulicę, wychodziła umyć szklanekę, itp. Odżyła, kiedy poprosiłyśmy o następne pudło kartek. Nie, żeby ją ogarnęła chęć współzawodnictwa, co to, to nie. Ale chciała nam udowodnić, że tak poważnej roboty nie można w tak krótkim czasie wykonać bez błędu. Rzuciła się wtedy sprawdzać nasz „urobek”, co z kolei wzbudziło w nas ducha sportowego – „a właśnie, że będzie bez błędu”. Zdaje się, że przez te trzy dni praktyki odwaliłyśmy robotę przewidzianą na miesiąc...

Rywalizacja, wyścigi po prostu, to też chwyt, który spontanicznie stosuję dla uatrakcyjnienia nudnej pracy, jak np. drylowanie wiśni. Tylko kłopot z tym, że nudne prace często dlatego są nudne, że wykonuje się je solo. Można ostatecznie urządzić sobie wyścigi z czasem: „jeśli do siedemnastej uda mi się wyłuskać ten groch, to wygram”. Co wygram? Oczywiście nic, ale przecież nie chodzi o nagrodę, tylko o szczyptę emocji.

Tak, z nudną pracą fizyczną przy odrobinie fantazji można sobie jakoś poradzić. Gorzej – wbrew pozorom – z umysłową, bo zajmując umysł, nie pozwala na fantazjowanie. Tu więc trzeba sposobów bardziej wyrafinowanych niż dziecinne zabawy nad kaszką. A i tak sukces nie jest taki pewny. Czasem mi się jednak udawało.

## ZNUŻENIE

O tym, czy jakaś praca jest nudna czy pasjonująca, decyduje w przeważającej mierze nastawienie do niej osoby, która ją wykonuje. Dla poety nie ma nic nudniejszego niż studiowanie bilansu przedsiębiorstwa, dla ekonomisty – czytanie wierszy. Ale nawet przy pracy lubianej, wybranej z dobrej woli, natrafia się na mielizny nudziarstwa i przeżywa dni dojmującego znużenia. Doświadczyłam tego już we wczesnych latach pracy zawodowej, jako redaktor wydawnictwa.

Lubiłam tę pracę, bo polegała na tym, co w ogóle najbardziej lubię, tj. na czytaniu; widziałam w niej sens – książka powinna być wydana bezbłędnie – i dlatego przysłowiowe „stawianie przecinków” mnie nie nudziło. Trafiały jednak na moje biurko także rozdęte i nadęte rozprawy o zawartości myślowej dającej się zmieścić na dwudziestu kartkach, wobec których należałoby zastosować zasadę „uciąć, skrócić i wyrzucić”. A tu siedz, człowieku, wprowadzaj jakiś ład w mętne wodolejstwo, prostuj zdania koślawe jak dziadowski kij i jeszcze uważaj przez cały czas, żeby nie przepuścić jakiegoś „ktury” czy „Paryrza”. Nic dziwnego, że człowieka ogarniało mdławne znużenie.

Nużąca praca umysłowa jest tym gorsza od fizycznej, że – jak pisałam poprzednio – nie pozwala „myśleć o czymś innym”. A jednak tylko to może nas uratować, podtrzymać na siłach i dać dobrnąć do szczęśliwego końca. Kiedy natrafiałam na szczególnie beznadziejne zdanie, splątane niczym krzak jeżyn, co to ani obejść, ani przeskoczyć, wstawałam od biurka i oznajmiałam kolegom, że „wyskakuję na małego Sienkiewicza”. Szłam zdecydowanym krokiem do podręcznej biblioteki po drugiej stronie korytarza, brałam byle który tom „Trylogii” i po piętnastu, dwudziestu minutach rzeźwiącego prysznicu źródlanej polszczyzny wracałam, by z odświeżonym mózgiem borykać się z kolczastym i zawijaśnym zdaniem. Nader często okazywało się zresztą, że zdania nie trzeba rozplątywać, że nikomu i niczemu nie zaszkodzi, jeśli się je po prostu skreśli.

Mojego „małego Sienkiewicza” można zastąpić czym innym, wedle gustu, ale zasada pozostaje ta sama: kiedy ogarnia nas znużenie umysłowe, przerwijmy jałową szarpaninę i „strzelmy” sobie coś odświeżającego. Jeśli wykonujemy w domu jakąś pracę zleconą, która nam już nad miarę obrzydła, zostawmy ją na jeden wieczór i idźmy do kina, na koncert, do znajomych – wszystko jedno, byle spędzić czas ciekawie i poza domem. Jeśli znużyły nas papiery przerabiane na służbowym biurku – urwijmy się z biura z premedytacją, nie chyłkiem i pozorancko, jak to się zwykle robi, idąc na kawę do koleżanki z sąsiedniego działu. Bo ważne tu jest ostre cięcie, kontrast, taki jak między Sienkiewiczem a elukubracją docenta Pleplewiaka. Dopiero to sprowadza orzeźwiający szok, ogólne ożywienie umysłu, daje rozpęd potrzebny do wzięcia przeszkody.

Człowiek stoi czasem przed zadaniem skołowany jak pies z kijem w pysku przed wąskimi drzwiami. Pies kręci głową, aż go kark rozboli, a przez drzwi nijak przejść nie może. Tymczasem gdyby na chwilę ten kij wypuścił i potem złapał go z innego końca, byłoby po kłopotcie. Oderwanie się na moment od główkowania, co zrobić z tym fantem, jest czasem jedynym wyjściem, by znaleźć wyjście.

## RÓŻNE WSTRĘTY

Dość powszechnie występującą formą lenistwa jest – że to tak nazwę – lenistwo lokalne, mieszczące się nie w czasie (jak okresowe napady „nic mi się nie chce”), lecz w przestrzeni. Możemy być w najlepszej formie, duszą i ciałem garnąc się do pracy, która nam w dodatku idzie jak po maśle, a jednak w przestrzeni naszej aktywności tkwi coś, co omijamy jak pokrzywę w malinach, mimo że nie ma żadnych racjonalnych powodów, żeby tego nie zrobić.

Do omijanych i odkładanych zadań należy np. pisanie listów. Wielu ludzi miesiącami nie odpowiada na listy, nie wysyła w porę życzeń świątecznych czy imieninowych, tłumacząc się potem, że „cierpią na listowstręt”. Ale takich „wstrętów” jest wiele – ktoś gotów odkurzyć cały pokój, byle nie wynieść śmieci, dla kogoś innym zadaniem nad siły jest zdjęcie skarpetek ze sznurka i schowanie do szafy, różnie bywa. Co do mnie, to cierpię na wstręt już zupełnie niewytłumaczalny i idiotyczny, mianowicie wstręt do telefonowania. Wolę, wybierając się do znajomych, raczej zaryzykować, iż pocałuję klamkę, niż przedtem zadzwonić i się zapowiedzieć. Wiem, że jest to kompletna głupota, ale kiedy już muszę gdzieś telefonować, oddalam ten kielich goryczy, jak się da. A to: teraz jej nie ma w domu, a to: nie będę przeszkadzać, bo pewnie ogląda dziennik (mecz, serial), a to: zaraz, zaraz, tylko pomyję, przeczytam do końca artykuł, wypalę papierosa... Jeśli w końcu wykonam ów telefon, kamień spada mi z serca i chodzę dumna, jakbym skończyła trudny rozdział powieści.

Zamiłowania do telefonowania już w sobie nie wykształcę, choć wiem, ile na tym „wstręcie” tracę. Żeby jednak nie ściągnął on na mnie zbyt ciężkich konsekwencji, telefony absolutnie konieczne zapisuję na karteczce z wykazem zajęć na dzień bieżący. Skreślam potem kolejno: „odebrać pranie”, „felieton do Gaz. Gd.”, „zapł. rach.”, „kupić płyn do naczyń”, itp., aż wreszcie na karteczce zostaje jak wyrzut sumienia „tel. do...”. Wstyd mi przepisywać to polecenie na następny świstek, poza tym – kartka z odfajkowanymi wszystkimi zadaniami wybitnie poprawia samopoczucie, więc było nie było, buch kasztan w wodę, wreszcie telefonuję.

Bywają „wstręty” nie tak dziwaczne jak wyżej opisany. Ot, na przykład żywię niechęć do czyszczenia wentylatora nad kuchenką, robienia „porządku w butach”, przesadzania kwiatów do większej doniczki. Nie są to prace szczególnie fatygujące, ale brudne i wymagające przygotowań, „bałaganogenne”, więc wielokroć mówię sobie: „trzeba by” i na tym się skończy.

A jednak któregoś dnia włączę na kuchenkę, żeby wyczyścić wentylator, czy klękam przy szafie z butami, dlatego że pojawia się na horyzoncie zadanie, na które mam jeszcze mniejszą ochotę. Klin klinem – to najlepsza metoda na „wstręty”. Już, już mam się za kołnierz dociągnąć do telefonu i naraz świta mi zbawcza myśl: „Wentylator! Dawno miałam z nim zrobić porządek!”. Zawracam z radosnym zapałem, szykuję szczotki, szmaty i śrubokręt, przystawiam stołek... Mija kwadrans, dwa, śrubka pechowo wpada mi za szafkę, wyciągam ją z trudem, robię się zła, och, żeby to wreszcie skończyć... Po skończeniu tej roboty już nic mi nie strasze – myję ręce i z miną człowieka, dla którego „nie ma przeszkód i nie ma złych dróg”, ruszam do telefonu.

A potem mogę już spokojnie śmiać się z siebie, że tak przechytrzyłam własne lenistwo.

## OCZY SIĘ BOJĄ, ALE RĘCE ZROBIĄ...

Są prace, do których trudno nam się zabrać nie z powodu lenistwa takiego czy owakiego, nie z powodu niewytlumaczalnego wstępu, ale po prostu ze strachu. „Bożeż ty mój, to jest takie ciężkie, ja temu nie poradzę” – myślałam przez tygodnie i miesiące, patrząc na kupę kłopotów pozostałych po poprzednim właścicielu w kącie ogrodu. Były tam różne dziwne rzeczy z gatunku tych, co-mogą-się-przydać: beczka z resztką lepiku, pęknięte szyby, zwój zardzewiałej siatki, jakieś dechy, w dodatku zagrodzone agrestami. Co z tym zrobić, gdzie to wyrzucić, a w ogóle – od czego zacząć?

Przeszkadzała mi ta graciarnia jak gwóźdź w bucie, najgorsza zaś okazała się beczka, którą w perspektywie można było właściwie tylko przesuwac z kąta w kąt... Na pomoc przyszedł mi przypadek – nowy sąsiad, żwawszy i zaradniejszy ode mnie, ściągnął żuka do wywiezienia z piwnicy rupieci nieco podobnych do moich z ogrodu. „Czy mogę panu podrzucić beczkę?” – „Ależ drobiazg, proszę bardzo”. Beczka pojechała, przy okazji także zardzewiała siatka, a ja w kącie ogrodu mozoliłam się z resztą.

Nie powiem, żeby wyciąganie odłamków szkła z piasku, rąbanie zmurszałych ram okiennych, itp. było tym „co Paryżanie lubią najbardziej”, ale po dwóch dniach kącik wyglądał przyzwoicie. Spoglądałam na niego z upodobaniem, przypominała mi się scena z „Nocy i dni”, kiedy to Bogumił Niechcic nie mógł skupić się na kawiarnianej rozmowie, bo przed oczyma wciąż stawał mu pięknie uporządkowany kawałek podwórza między oborą a stodołą, myśl zaś zdążyła do owego uładzonego kawałka i „odpoczywała tam niczym w świeżej pościeli”.

„Oczy się boją, ale ręce zrobią” – mówi chłopskie przysłowie oparte na wiekowym doświadczeniu. Byle zacząć. Do działania może nas popchnąć szczęśliwy zbieg okoliczności, jak mnie w przypadku graciarni w ogrodzie, tylko aby wykorzystać przypadek, trzeba mieć refleks. Przypadek też można zorganizować, po prostu wzywając kogoś do pomocy, przynajmniej na początku. Trzeba się jednak pilnować, żeby nie zarazić własnym strachem ewentualnego pomocnika. To mi się zdarzało w stosunku do syna, u którego „zamawiałam” całe popołudnie na robotę zajmującą dwie godziny. Rozszyfrował mnie po pewnym czasie i wyjaśniał: „mamo, ty wyliczasz czas na pracę proporcjonalnie do strachu, jaki czujesz na widok «kupy roboty»”. Wobec tego zmieniłam taktykę i teraz zagaduję: „Czy miałbyś pół godziny, no, może godzinę wolnego czasu, żeby mi pomóc w piwnicy”?

Powtarzam: byle zacząć. Istnieją zresztą dwie metody, które mają swoich zagorzałych zwolenników. Co do mnie, uważam je obie za dobre i nie trzymam się doktrynersko tylko jednej. Pierwsza metoda to: „byka za rogi”, drugą nazywam „metodą bierek”. Obie zasługują na szersze omówienie.

## METODA BIEREK

Gra w bierki polega na tym (wyjaśnienie dla tych, którzy jej nie znają), że rzuca się na stół garść patyczków, po czym rozpoczynający grę bierze je ze stosu po jednym. Gdy przy braniu poruszy się jakiś patyczek, gracz odstępuje miejsce następnemu. Pierwszy gracz jest w najlepszej sytuacji – łapie „bezpieczne” bierki, które nie krzyżują się z innymi. Potem już zaczynają się schody, trzeba dobrze kombinować, chytrze podważać zawalidrogi, itp., ale zasada jest zawsze ta sama: zaczyna się od najłatwiejszego patyka.

Zauważyłam, że „metodę bierek” stosuję całkiem podświadomie przy prasowaniu. W zasadzie lubię prasować – jest to praca na tyle mechaniczna, że nie przeszkadza w rozmowie, a jak nie mam z kim rozmawiać, to w myśleniu. A kiedy mi się myśleć nie chce, to sobie swobodnie śpiewam (jak wielu ludzi bez słuchu, lubię śpiewać i znam setki piosenek: koleżdy w pracy nawet się ze mnie śmiali i mówili: jak to się dzieje, że znasz tyle tekstów i ani jednej melodii?).

Tym niemniej w każdej porcji prasowania jest parę sztuk niesympatycznych, opornych na działanie żelazka – niektóre bluzki, spodnie, itp. Otóż można by niby od nich zacząć, żeby pozbyć się zarazy, a jednak niczym wróble pszenicę, odruchowo wybieram sztuki sympatyczniejsze, co to prask-prask i gotowe. Wreszcie na stole zostają tylko te wredne, ale cóż mi to – las już się przeredził, zaraz koniec.

„Metoda bierek” ma uzasadnienie w paru prostych zasadach psychologicznych. Po pierwsze: każdy człowiek lubi pracę, która mu idzie sprawnie, a jasne jest, że łatwiejszą sprawniej się wykonuje. Po drugie: lubi się widzieć, jak ubywa roboty. Pierwsze połączone z drugim wprawia nas w dobry humor, napawa wiarą we własne siły i umiejętności, mało tego, jakby je pomnaża. To przypomina jazdę na rowerze po pagórkowatym terenie – zjeżdżając z jednego zbocza, nabieramy szybkości i rozpędu i dzięki temu dopiero w połowie drugiego musimy dobrze nacisnąć pedały.

Metodę bierek stosuję nie tylko przy prasowaniu. Dobra jest przy pieleniu ogródka, przy zmywaniu (przypalone gary na końcu!), także przy „wykonywaniu telefonów” (najpierw sympatyczne, potem „trudne”) i przy pisaniu listów (jak wyżej). Stwarza ona i tę szansę, że sprawy trudne, czekające w kolejce na załatwienie, czasem jakoś się same rozwiążą albo przynajmniej odkomplikują. Też jak w grze w bierki: leży taki patyk beznadziejnie oparty na drugim i przywalony trzecim, ani przystęp do niego. Ale w kolejnych podejściach coś się tam minimalnie przesunie, bo stół zadrżał, bo inny gracz brał się zbyt energicznie do dzieła, i niewykonalne staje się wykonalne.

Metoda bierek nie jest jednak uniwersalna. Po pierwsze, istnieją prace od początku do końca tak samo trudne czy niemiłe, gdzie nie ma w czym wybierać – albo robi się wszystko, albo nic. Po drugie – w niektórych sytuacjach zaczynanie od rzeczy najłatwiejszych przemienia się w tzw. robotę głupiego. Gruz po hydraulikach trzeba wynosić, zaczynając od największych ułomków tynku, bo cóż z tego, że zamieciemy ślicznie pył i kurz, kiedy przy ładowaniu „głównego dania” zapylimy wszystko na nowo. Tu trzeba „byka za rogi”. „Corrida” to jednak kolejny temat.



## BYKA ZA ROGI

Bywa tak, że mamy do wykonania jakąś pracę, ale wiemy, że jest ona niemiła, żmudna i że zajmie nam sporo czasu – całe popołudnie, cały dzień, a są i takie, co potrafią rozpanoszyć się na cały tydzień. Otóż wiedząc dobrze, co nas czeka, odkładamy ją „do poniedziałku, no najwyżej do wtorku, jeśli nie będzie padać”. W tym wypadku nie kieruje nami jakiś irracjonalny wstręt do owej roboty, tylko doświadczenie. Zwlekamy dokładnie tak, jak zwlekamy z zanurzeniem się w zimnej wodzie – hamująco działa na nas wspomnienie poprzednich przeżyć, już na samą myśl dostajemy gęsiej skórki.

Oto jednak trafia się dzień, kiedy naprawdę nic nie stoi na przeszkodzie: jest akurat czas, siły dopisują, wszystkie wykrety już „się wykreciły”. Jednym słowem, chwila wymarzona, jeśli jej teraz nie wykorzystam, to nie wiem, kiedy nadejdzie następna. Wobec tego – bach, byka za rogi.

Ja na przykład odsuwam od siebie porządkowanie listów i dokumentów. Mam na tyle zdrowego rozsądku, że papiery, które trzeba zachować, wrzucam do jednej szuflady, żeby przynajmniej wiedzieć, gdzie szukać, jeśli zajdzie potrzeba. „Z biegiem dni, z biegiem lat” szuflada robi się tak pełna, że tylko dziada z babą tam brak, i pojawia się problem czystki. Wtedy, gdy trafi się sprzyjający dzień, śmiało i bez przytomności przekraczam „point of no return”, punkt od którego nie ma odwrotu – wyrzucam zawartość szuflady na podłogę, ustawiam obok kosz na papiery, pudełko z gumkami i ze dwa, trzy skoroszyty. Zgromadzenie zawczasu tych akcesoriów jest ważne, bo jak znam siebie, gdybym w trakcie porządków wyruszyła na poszukiwanie czegoś do związania listów od córki, nader łatwo zeszląbam na manowce.

No i już – klamka zapadła, siedzę w pułapce chytrze przez samą siebie zastawionej, nic mnie nie uratuje. Rachunki sprzed trzech lat do kosza, listy w paczki i ściągnąć gumką, dokumenty domowe do jednej teczki, zawodowe – do drugiej. Trzeba by napisać na teczce, co w niej jest. Najlepiej mazakiem, muszę iść po niego do syna... Nic z tych rzeczy, dobra kobieto, długopis jest równie dobry, siedź i nie włóż się, bo nie skończysz...

W tym tkwi bowiem zaleta metody „byka za rogi”: jak ją się już zaczęło, to trzeba skończyć. Nie można uporządkować szafy w trzech czwartych, a resztę ciuchów zwinąć w kłębek i zostawić na zaś. Nie można pomalować łazienki do połowy i odłożyć pędzli. To od felietonu mogę sobie wstać i powiedzieć, że dokończę po obiedzie – na zapisanych kartkach nic się nie zmieni, najwyżej stracę na chwilę wątek, ale złapię go zaraz, gdy przeczytam przedobiedni „urobek”. Z malowaniem łazienki zupełnie nie tak: jeśli dokończenie przesunę do jutra, to muszę sprzątnąć, no i umyć pędzle. Bardzo tego nie lubię, ale czyszczenie zaschniętych pędzli jest jeszcze gorsze. Podobnie z szufladą: listy uporządkowane w połowie są akurat tak „uporządkowane”, jak pieniądze „przeliczone” do połowy (stąd dowcip o kretynie przerywającym liczenie ze słowami: „jeśli się dotąd zgadza, to i dalej będzie dobrze”).

Omawiany sposób jest jednak i niebezpieczny: a nuż zabraknie nam silnej woli i utkwimy w trzech czwartych? Albo przerwiemy pracę wcale nie z naszej winy – ot, jakiś niespodziewany gość albo nie cierpiąca zwłoki nagła sprawa, i „po ptokach” – zostajemy z rozbabraną łazienką, papierami na podłodze, itp. Po powierzchownym uładzeniu galimatiasu trzeba później wszystko zaczynać od początku. Więc lepiej rzecz najpierw dobrze przemyśleć. By tak rzec – zanim się skoczy do wody, sprawdzić, czy w basenie jest woda.

## ELEKTRYCZNE SŁUŻKI

„Służka, wyleż spod łóżka” – mówi się żartem i żartem kończy: „Kazał pan, musiał sam”, bo pod łóżkiem żadne służki nie siedzą. Siedzą natomiast w ścianie, mianowicie w gniazdkach od prądu. W czasie kryzysu energetycznego w 1972 r. na fali oszczędności energii Amerykanie obliczyli, że gdyby przeliczyć HP (konie mechaniczne) „zatrudnione” do obsługi jednej amerykańskiej rodziny z klasy średniej, okazałoby się, że na rzecz tej rodziny pracuje dwustu niewolników. „O stu za dużo – grzmieli publicyści-moralisci – Nie musicie mieć dwóch łodzi motorowych, i trzech samochodów, w każdym pokoju nie musi stać telewizor, a w ogrodzie przez całą noc być jasno jak w dzień”.

Zrobiliśmy dla zabawy takie obliczenie dla naszego domu, tyle że nie przeliczaliśmy watów i kalorii na HP, tylko przenieśliśmy się myślą w czasy pani Ćwierciakiewiczowej i próbowaliśmy ustalić, ilu nasze gospodarstwo musiałoby wtedy zatrudniać pracowników, żeby – przy założeniu, że nie mamy prądu i gazu – utrzymać dom w obecnym standardzie. To jest: żeby w każdym pokoju było ciepło i jasno, żeby wszystko zostało na czas wyprane, wyprasowane, sprzątnięte, odkurzone, żeby się co dzień kąpać, zjeść obiady trzydaniowe, pić kawę parę razy dziennie i to do ciasta domowej roboty, itd. Wyszło nam – sześć osób. Boże ty mój, toż to prawie jak w hrabiowskim domu! Za Ćwierciakiewiczowej w żaden sposób nie moglibyśmy sobie na to pozwolić.

Policzyliśmy jeszcze raz – ani trochę mniej. Proszę: pokojówka i sprzątaczką, kucharką i pomoc kuchenną, praczką, chłop do rąbania drzewa, przynoszenia wody, węgla, palenia w piecach. Nie mamy samochodu, ale gdybyśmy mieli, to przyjmując za jego odpowiednik (niedoskonały!) powóz, trzeba by dodać jeszcze stajennego i stangreta.

Ale patrząc realnie, powóz byłby nam nieodzowny – pracujemy w dość dużej odległości od domu, na piechotę się nie zajdzie. Niezależnie od tego, czy ma się własny środek lokomocji czy korzysta się z transportu publicznego, te dwie osoby obsługi komunikacyjnej trzeba więc wciągnąć na stan zatrudnienia.

Skoro już raz wyszliśmy poza dom, ujawniły się inne „nieobecne służki”. Nie trzeba ich szukać zbyt daleko, wystarczy w sklepiku na rogu, no, w dwóch sklepikach, spożywczym i chemicznym. Spożywczy na razie nie jest zbyt imponujący, generalnie od gotowania i pieczenia nas nie uwalnia, no ale zawsze: majonez, musztarda, konserwy rybne, budynie, twarożki, makarony, mrożonki... Gdyby to wszystko robić ręcznie, potrzeba by było jeszcze pół pomocy kuchennej. A chemia to dopiero ho-ho! Płynny do mycia naczyń, proszki do prania takie i siakie (za Ćwierciakiewiczowej robiło się je w domu), pasty do szorowania, płyny do czyszczenia zlewu, gotowe farby, uszczelniacze, zmywacze, wywabiacze...

Jakżesz potężną siłą postępu jest lenistwo! Toż to z marzeń leniów o tym, żeby woda lała się ze ściany wprost do miski, żeby zrobić „pstryk” i już stawało się jasno, żeby pranie się prało samo, powstały epokowe ułatwienia. Wynalazki robili oczywiście ludzie piekielnie pracowici, ale trzeba mieć w sobie szczyptę lenistwa, chcąc w ogóle dostrzec problem. Szczyptę, powtarzam, nie więcej. U większości ta dawka jest tak duża, że leń poza marzenia nie wychodzi. Ba, cały potężny aparat reklamy trudni się przekonaniem nas, żebyśmy zechcieli ułatwić sobie życie. Bo lenistwo jest nie tylko sprzymierzeńcem wynalazczości – wspiera także konserwatyzm. Nowy sprzęt wprowadza zamieszanie, trzeba uczyć się z nim obchodzić... Spece od reklamy naprawdę muszą się natrudzić, żeby skłonić leniów do ułatwienia sobie życia.

## PRZEŁAM SIĘ I KAŻ PRACOWAĆ KILOWATOM!

Moja babcia była człowiekiem niezwykle pracowitym i niezwykle sprawnym. Pamiętam ją wciąż zajęta, a prawie nigdy zmęczoną. Wszystko szło jej tak płynnie, jakby mimochodem, jakby w tańcu. Umiała sobie ułatwić pracę, miała wrodzony zmysł ergonomiczny. Ale właśnie dlatego trudno ją było przekonać do jakichś innowacji. Nawet do lodówki. „Po co ten wydatek, przecież mam taką świetną spizarkę”. Spizarka była rzeczywiście znakomicie rozplanowana, tym niemniej my, ci z młodego pokolenia, złożyliśmy się i kupiliśmy babci na gwiazdkę lodówkę. No i co? Sprzęt stał nie podłączony w kuchni, a babcia niekiedy nadmieniała, tak mimochodem, że „przedtem” kuchnia była ustawniejsza. Trzeba było dopiero lipcowych upałów i dwóch kilogramów zaśmierdłej cielęciny, żeby babcia przekonała się do lodówki. Potem, owszem, używała jej również ergonomicznie i sensownie, jak przedtem spizarki.

Z pralką poszło o wiele łatwiej, bo choć babcia nie dowierzała, że od kręcenia się w bębnie bielizna zrobi się równie czysta jak od pocierania na tarce, to jednak sama widziała, że na balię i tarkę nie może już trwonić sił.

Ja tam sił miałam dużo, ale „Franię” kupiłam zaraz, jak stały się dostępne. Lodówkę też. I odkurzacz. I żelazko z termostatem. I...

I właśnie że żadne „i”. Do następnych zakupów już zmuszała mnie córka – pralkę automatyczną wstawiła mi do łazienki drogą zamachu stanu, lodówkę z zamrażalnikiem prawie tak samo, za nic sobie mając moje argumenty, że przecież stary sprzęt jest po prostu świetny, bo przez z górą dwadzieścia lat pralka zepsuła się raz, a lodówka ani razu...

To normalna kolej rzeczy. Z biegiem lat człowiek nabiera wprawy i sprawności, już mu praca nie tak straszna jak z początku, kiedy nie wiedział, z którego końca ją ugryźć, te zajęcia, do których nijak się nie mógł przełamać, po prostu skreślił z rozkładu i nie odczuwa potrzeby ułatwień i ulepszeń. Dobrze jest, jak jest.

A to nieprawda. Broniłam się długo przed melakserem, replikując na namowy córki, że więcej z tym zachodu (ustawienie, skręcanie, mycie) niż pożytku i że trochę surówki dla nas mogą utrzcć na podręcznej szatkownicy. Uległam tylko dla świętego spokoju. I oto melakser ujawnił całe połacie mego lenistwa: nim się ten sprzęt pojawił, nie robiłam pierogów, mielonych kotletów, tatar, surówek rzeczywiście tylko trochę, ciasta jedynie te, których nie trzeba za długo ucierać, itd. Melakser, zwalniając mnie od kontaktu z niemiłą mi maszynką do mielenia, wprowadził rewolucję w naszym jadłospisie.

Drugi sprzęt nie do przecenienia to wiertarka. Syn dostał ją od chrzestnego na urodziny, a ja bałam się tknąć, bo i warczy, i syn brał ją do rąk z miną pełną powagi. Ale raz się tak zdarzyło, że syna nie było, a ja absolutnie musiałam powiesić w kuchni szafkę. Przeżegnałam się i – raz kozie śmierć. Poszło niespodziewanie łatwo. I teraz, tak jak woda z umywalki po odetkaniu zlewu, bezproblemowo znikają niemiłe, odkładane na święty nigdy zadania: obraz, który wisiał ni przypiął ni przyłatał, bo akurat w tym miejscu zachował się hak, wisi teraz jak należy. Takoz deseczki do krajania. Takoz szczotka do zmiatania, którą przed erą wiertarki mozolnie nacinałam nożem do chleba, żeby zawiązać sznurek do zawieszania. Sznurek oczywiście po pewnym czasie się obsuwał i rób *da capo*. A teraz – trr i już trzonek przewiercony, sznurek przewleczony, zawiązany w piękną pętelkę, szczotka wisi aż miło spojrzeć. Pożytki z wiertarki są po prostu nieprzebrane, kto raz się do niej przekona, przyzna,

że powinna znajdować się w wyposażeniu każdego gospodarstwa domowego, tak jak dawniej tasak i toporek.

Toporek zresztą też mam, używam go zamiast młotka, bo jest szalenie poręczny. A poręczne narzędzie to też dobry lek na lenistwo.

## TRZECIA RĘKA

Smażyłam kiedyś placki z jabłkami. Przewróciłam racuchy na jednej patelni, zdjęłam usmażone z drugiej i nałożyłam na nią nowe porcje ciasta, poczem zdjęłam gotowe placki z pierwszej, itd., itd. Szło to szybko i rutynowo, zaczęłam „myśleć o czymś innym” i w tym myśleniu przyplątało mi się pytanie: „czemu ja, u licha, od początku nie smażyłam naleśników na dwóch patelniach?” Odpowiedź była olśniewająco prosta: „bo nie miałam dwóch dużych patelni!”. Śmiejemy się z dowcipu o jegomościu, który na pytanie, czy chciałby może jakąś książkę na urodziny, odpowiedział: „dziękuję, już jedną mam”. Oczywiście patelnia to nie książki, tym niemniej zastanawiające jest, jak ludzie skądinąd nawet skorzy do inwestowania w sprzęt domowy niechętnie lub wcale nie myślą, że coś warto mieć w dwóch, a nawet więcej egzemplarzach. Tymczasem obfitość albo przynajmniej dostatek pewnych drobnych, banalnych narzędzi, to prawie jakby trzecia ręka albo druga para nóg. Weźmy choćby i ten przykład z naleśnikami: jeśli smażymy je tylko na jednej patelni, mamy na przemian „puste minuty” gapienia się w smażące się placki i hektyczne momenty wykładania ich na talerz, wrzucania tłuszczu na przegrzaną patelnię, szybkiego wylewania ciasta, aby tłuszcz się nie przypalił...

Niektóre narzędzia, gdy są „na wyposażeniu” tylko w jednym egzemplarzu, stają się kością niezgody i źródłem konfliktów. „Tyle razy proszę, żeby kłaść na swoje miejsce!”. „Bo wy nigdy...” „Bo ty zawsze...”.

Któż nie zna awantur domowych, zaczynających się od drobiazgu, a kończących się wypominaniem przez wszystkich wszystkiego wszystkim. Szczególnie nożyczki mają w sobie jakieś dziwne fluidy, powstrzymujące użytkownika od położenia ich tam, skąd wziął. Trzeba to przyjąć do wiadomości i wyciągnąć wnioski, co uczyniłam już dawno temu i dziś mąż ma swoje, syn swoje, a ja aż trzy sztuki: jedną w pudełku do szycia, drugą w moim pokoju na poddaszu, trzecia wisi nad roboczym stołem w kuchni i służy w zasadzie tylko do otwierania torebek z budyniem, woreczków z mlekiem, itp. Ale właśnie te nożyczki oszczędzają mi najwięcej czasu, latania i nerwów.

Wieczne wojny o kombinerki skończyły się, odkąd syn ma swoje, ja swoje, a trzecie leżą w piwnicy. Latarka kieszonkowa „ogólnie dostępna” wisi w kuchni, druga leży przy liczniku elektrycznym i nie wolno jej stamtąd zabierać. Okularów mam trzy pary: kuchenne, „wyjściowe” i w pokoju do pracy. Odkąd się w nie zaopatrzyłam, owszem, odgrywam czasem pana Hilarego („Woła, krzyczy pan Hilary: gdzie są moje okulary?!”), ale przynajmniej tylko w obrębie jednego pomieszczenia.

Wykonujemy często jakąś robotę byle jak albo wcale, bo nie chce się nam szukać potrzebnego do niej drobiazgu. Naturalnie, oczywiście, wiemy, powtarzano nam to od dzieciństwa: każdą rzecz należy kłaść na swoje miejsce. Ale trzeba się z tym pogodzić, że są rzeczy jakoś tajemniczo mobilne, z tendencją do upartego znikania i przepadania. Oprócz wymienionych są to długopisy, metrówki, zapalniczki, notesiki z adresami, młotki, różnie to zresztą bywa, zależy od indywidualnego charakteru gospodarstwa domowego.

Tzw. złośliwość przedmiotów martwych, ujawniająca się m. in. w ich przewrotnym znikaniu, jest jednym z częstszych czynników „leniogennych”. Odkładamy jakąś robotę, bo nam się nie chce szukać potrzebnego narzędzia. W pewnej mierze można temu zapobiec metodą: „nie będziesz ty, to będzie inna”. O dziwo, narzędzia zagrożone konkurencją chowają złośliwość do kieszeni i przestają znikać!

## ROBOTA KOCHA GŁUPIEGO?

Przysłowie zawarte w tytule lubią powtarzać ludzie pracowici, nawet bardzo pracowici. Wygłaszają je z uśmiechem, z autoironią, nadając mu sens mniej więcej taki: „Trzeba być głupkiem, jak nie przymierzając ja, żeby sobie ciągle wynajdować robotę albo pozwalać, żeby ona mnie wynajdowała. Inni potrafią się jakoś wykręcić, a mnie robota zawsze dopadnie”.

Istotnie, są ludzie, którzy gdy jest coś do zrobienia, nie potrafią odczekać tych pięciu, dziesięciu sekund i wychylają się z ofertą: „ja przyniosę”, „ja już to sprzątnę”, choć w pokoju są jeszcze dwie lub trzy osoby, którym nic by się nie stało, gdyby przyniosły czy sprzątnęły. Tylko, że stała gotowość do wykonania zadania, co samo pcha się przed oczy, nie jest przecież głupotą. Może naiwnością, może nadmiarem poczucia obowiązku, a może – czemu nie? – dobrocią serca?

Takiego człowieka robota kocha, ale nie dlatego, że głupi, tylko że jest to miłość ze wzajemnością. Robota kocha tych, co ją kochają, stara się im nie utrudniać życia, prawie „sama się robi”, nie płata głupich kawałów, nie staje w poprzek, nie zachodzi znienacka z boku, nie podstawi nogi.

A głupiego, przeciwnie, nie kocha. Głupiemu robi na złość, dokucza mu, czepia się i nie chce się odczepić. Osacza go, zwodzi i kiedy nieszczęśnik myśli, że już jej się pozbył, wychodzi z kąta i mówi: „Akuku, tu jestem!”.

Poza tym jeszcze „leci mu z rąk”, „ciągnie się jak kurz za wojskiem”, potrafi zmusić, żeby zaczynać od początku. Bo „robota głupiego” jest złośliwa, mści się na nim za to, że jej nie lubi, że jej nie chce znać, że nie chce zauważyć jej specyficznej urody, ba, nawet wdzięku i sympatyczności.

Głupek jest jak Grubasek z bajki o trzech małych świnkach, co to był „miły, wesoły i ze wszystkiego zadowolony, miał tylko jedną wadę: wcale a wcale nie lubił pracować. Toteż kiedy przyszła pora zbudowania sobie domku, postanowił to zrobić byle szybko, byle łatwo, po prostu – byle jak”. Skutek tej metody jest znany – domek rozleciał się po jednym dmuchnięciu Dużego Złego Wilka.

Głupek liczy na to, że robotę da się oszukać. Jeśli piali ogródek, to ciach-ciach, zerwie to, co na wierzchu, i jest rozżalony, kiedy po trzech dniach widzi znowu w tym miejscu młodziutkie, zieloniutkie liście mlecza. Jeśli ma przypiąć zerwaną firankę, wchodzi najpierw na najbliższy fotel. Nie może sięgnąć, za wysoko. Kładzie na krześle jeden tom encyklopedii, nic, dokłada drugi, no, wreszcie. Końcówkami palców zapina żabki na brzeżku firanki, chybocząc się przy tym niebezpiecznie na encyklopediach. Schodząc z nich, traci równowagę, w popłochu łapie się za firankę... Że nie zleciał i nie skreślił sobie czegoś, to tylko dlatego, że jednak „Pan Bóg czuwa nad głupcami”. Firanka wisi już tylko na jednej żabce, nasz głupek zdejmując wreszcie pychę z serca i robi to, co powinien uczynić od razu: przynosi z piwnicy drabinę. Ale drabiny nie oczyścił po ostatnim malowaniu, wyschnięta farba kruszy się i zostawia subtelny śladzik od piwnicy do okna. Udręczony głupek, uporawszy się z firanką, odnosi drabinę, potrącając przy okazji krzesło z dwoma tomami encyklopedii. Powinien teraz wziąć odkurzacz i sprzątnąć paprochy, co spadły z drabiny, ale „już nie ma siły”. Słusznie – „siły” mu będą potrzebne jutro, kiedy złośliwe promienie słońca ujawnią na połowie podłogi białe ślady pantofli, których podeszwy pracownicy rozdeptywały płatki i grudki farby i gipsu z drabiny.

Nie, nie, robota nie kocha głupiego. Nie znosi go równie namiętnie, jak on jej.

## FALSTART

Opisany na poprzednich stronach głupek zepsuł sobie popołudnie i jeszcze kawałek następnego dnia, bo chciał chytreńko oszczędzić czas i pożałował go na przyniesienie drabiny. Przypadek to pospolity, ale o tyle skrajny, że lenistwo skojarzyło się tu z wybujałą głupotą. Tym niemniej, w bardziej zawoalowanej formie, historyjki takie zdarzają się nam nader często. I co zabawne, zarówno wtedy, kiedy ruszamy do dzieła z ochoczym zapałem, jak i z ponurą determinacją, że „raz trzeba to wreszcie odwalić”.

Każda praca ma trzy fazy: przygotowawczą, główną i wykończeniową. Zastanawiał mnie zawsze fenomen psychologiczny, który sprawia, że lenistwo atakuje nas przede wszystkim w fazie pierwszej i ostatniej. Czemu tak się dzieje, że decydując się np. na bohaterski czyn odmalowania okien, aż palimy się do równych, monotonnych pociągnięć pędzlem po futrynie, a odrazą napelnia nas myśl o tym, że tę futrynę trzeba najpierw oczyścić? Obiektywnie rzecz biorąc, skapująca na palce i podłogę świeża farba jest równie niesympatyczna, jak odpryski zeszkrobwanej starej. Jeśli spalamy starą farbę spalarką, nie pachnie ona gorzej niż nowa z otwartej puszkii. Sprzątnięcie odprysków wymaga tylko przejechania odkurzaczem, gdy tymczasem zachlapania na szybie (zawsze ich trochę powstaje, choćbyśmy nie wiem jak uważali) wymagają zabiegów bardziej złożonych.

Myślę, że nie chodzi tu o rodzaj pracy, tylko o efekt. Oczyszczone futryny wyglądają tak czy owak paskudnie, nie ma się czym chwalić ani na co popatrzeć. Co innego, kiedy już pomalowane, lśnią świeżym lakierem. „Jakże miła praca, gdy skończona” – pouczał Cyncero. Ograniczamy więc zabiegi przygotowawcze nie dlatego, że same przez się są nie mile, tylko że oddalają nas od tej sympatycznej chwili, kiedy to „już widać robotę”. Mówię tutaj o ludziach dojrzałych i doświadczonych, których efekt pracy cieszy. Z młodymi jest nieco inaczej: w wieku młodzieńczym świat jest taki ciekawy i pociągający, prace domowe narzucone przez starych pedantów tak nudne, że chodzi przede wszystkim o to, by jak najkrócej zwracać sobie nimi głowę.

Mój brat, kiedy przychodziła na niego kolej towarzyszyć babci do magła, usiłował wydobyć od niej informację, ile razy trzeba obrócić kołem, żeby porcja bielizny była wymaglowana: „Dwadzieścia? Pięćdziesiąt?” – pytał z nadzieją, że jak usłyszy konkretną liczbę, zepnie się, zakręci korbą w tempie superekspresu i po kwadransie będzie wolny. Ale babcia odpowiadała niezmiennie i nielitościwie: „Tyle, ile trzeba, żeby było dobrze”. Wobec tego przestępował z nogi na nogę i złościł się, kiedy babcia poprawiała jeszcze i wyrównywała coś na gotowym już (jego zdaniem) wałku.

Człowiek dojrzały wie, że „co nagle, to po diable”, że „gdy się człowiek spieszy, to diabeł się cieszy”, tym niemniej i on nie lubi fazy przygotowawczej. Opracowuje więc sobie różne strategie, by ją skrócić do minimum lub jakoś tam uprzyjemnić.

Jednym ze sposobów na to jest podzielenie pracy na odpowiednie segmenty. By trzymać się przykładu z malowaniem okien: nie mówimy sobie: „w tym tygodniu je pomaluję”, tylko „w środę oczyszczę okno w kuchni”. Jest to zadanie na ludzkie siły, możemy je wykonywać dokładnie. Udajemy więc przed sobą, że tylko o to nam chodziło, o lśniącym lakierze staramy się nie myśleć, a odrapanie parapetu też ostatecznie daje jakąś satysfakcję. W czwartek z rozkoszą sięgamy no pędzel, lakier na dobrze oczyszczonym drewnie kładzie się bez skazy, więc myśl o tym, że w piątek czeka nas drapanie starej farby z następnego okna, już nie jest

tak odpychająca, przeciwnie, chwalimy się w myśli za to, żeśmy się dobrze przyłożyli i proszę – jaki efekt.

Gdybyśmy natomiast, spiesząc się do wymarzonego widoku skończonej pracy, postanowili tę wredną fazę przygotowawczą odwalić od razu, pod koniec bylibyśmy tak nią zbrzydzeni i zmęczeni, że „odpuszczalibyśmy” sobie coraz więcej, co oczywiście potem wylazłoby na wierzch. Bo falstart przekreśla szansę na sukces. Trzeba więc główkować, jak go uniknąć. Odpowiednie posegmentowanie roboty to jeden sposób. Inny – to swego rodzaju „rozmydlenie” niemiłego początku tak, by go w ogóle nie zauważyć.

Łatwiej to oczywiście zorganizować przy kataklizmach rutynowych, takich jak wyjazd z dziećmi na wakacje czy święta z gośćmi. Data orkanu jest dokładnie znana, ale żeby nie stresować się przedwcześnie, udajemy, że nas to wcale nie obchodzi i tylko tak mimochodem, *en passant*, to i owo z przygotowań załatwiamy. Jeśli chodzi o święta, to przy okazji innych zakupów nabywamy a to trzy paczki rodzynek, a to kompot brzoskwiniowy i ananasowy, a to dodatkowe kilogramy krupczatki... Ma to i tę dobrą stronę, że orkan świątecznych zakupów nie zrujnuje nam kompletnie budżetu: trzeba tylko nabyte produkty składować w miejscu nie rzucającym się w oczy, bo może się zdarzyć, że ananasy „wyjdą” przy niespodziewanej wizycie, a migdały z rodzynekami schrupiemy w czasie szczególnie pasjonującego spektaklu TV.

Wyjazd na wczasy też powinien zaczynać się długo wcześniej i niepostrzeżenie. Wypraktykowałam to już dawno, kiedy dzieci były małe, więc bagaże duże. Niezbędne (!?) łopatki, wiaderka, nadmuchiwane potwory kupowaliśmy w czasie normalnych spacerów, co stanowiło ich miłe urozmaicenie. „Małego hipochondryka” (tak na wzór „małego stolarza”, „chemika”, itp. nazywamy podróżną apteczkę) uzupełniałam przy okazji zakupu standardowych leków, jak aspiryna czy coś. Największą część bagażu stanowią, jak wiadomo, ciuchy. Ponieważ ich dobór zależy w dużej mierze od długoterminowej prognozy pogody i zapowiedź nadeciągającej fali upałów (bądź chłódów) może nas zmusić do generalnego przepakowania walizki, dbałam zawsze o to, żeby w tej mierze zapewnić sobie w pełni suwerenną decyzję, nie ograniczoną urwanym guzikiem, luźną gumką czy plamą na najbardziej eksponowanym miejscu dresu. Dlatego z odpowiednim wyprzedzeniem robiłam pranie, tak by w dniu pakowania wszystko leżało do dyspozycji w szafie, czyste, wyprasowane, wyporządzone. A potem: „Wolisz tę sukienkę? Proszę. – Chcesz koniecznie tamte portki? No to bierz”. Bezkonfliktowo, bez nerwów, przed wyjściem należało tylko policzyć bagaże („plecak, walizka, torba, Agnieszka, Piotruś – razem pięć”) i pilnować, żeby ich nie zgubić.

Dostałam kiedyś od znajomych z Niemiec kalendarzyk. Kalendarzyk jak kalendarzyk, ale miał cenną wkładkę: kartonik z wyliczeniem spraw do załatwienia przed wyjazdem na urlop, porubrykowany, z kwadracikami na postawienie fajki, piękny okaz pedanterii. Oczywiście niektóre z zaleceń wzbudzały w nas gorzki śmiech: np. „podać adres urlopowy na pocztę” – albo: „polecieć redakcji Twojego dziennika przesłanie go w czasie... na adres...”. Ale sama idea dała się przystosować do naszych warunków. Kartoniki podówczas skomponowane funkcjonują w rodzinie do dziś.

Kartoniki w ogóle są u nas w stałym użyciu, ale o „korespondencji wewnątrzdomowej” napiszę kiedy indziej. Tu tylko to, co dotyczy unikania falstartu: otóż wykaz spraw do załatwienia, rzeczy do kupienia bardzo ułatwia życie, ba, prawie uprzyjemnia. Po pierwsze bowiem, kiedy już w kitlu i z pędzlem w ręku stajemy przed drzwiami, które chcemy pomalować, nie odrywa nas od tej wspaniałej czynności przykra myśl, że mamy wszystko oprócz rozpuszczalnika. Po drugie, o czym już zdaje się wspomniałam, widok kartonika ze skreślonymi zadaniami podnosi nam samopoczucie. Przy pracy chodzi przecież nie tylko o to, żeby „robić tak, by się nie narobić”, ale i o to, żeby móc dobrze o sobie myśleć: „proszę, jak to ładnie poszło, albośmy to jacy-tacy”...



## GARNITURY BEZ GUZIKÓW

Nikt z nas nie kupiłby w sklepie garnituru bez guzików, choćby ekspedientka nie wiem jak wymownie przekonywała nas o wysokiej jakości ubrania, wobec której brak guzików to mankament marginalny, dający się usunąć we własnym zakresie w ciągu pół godziny. W sklepie czy u krawca niewzruszenie wyznajemy zasadę, że garnitur bez guzików to produkt nie wykończony i już, szkoda dalszych słów.

W życiu codziennym jednak takie „garnitury” kupujemy bardzo często. Nieraz sami występujemy w podwójnej roli – krawca i klienta. Jako „krawiec” np. zapominamy o niedoszorowanym garnku, jako „klient” – godzimy się z widokiem smolucha na kuchence, mówimy „ach, to już przy następnym pomywaniu, wieczorem, jutro”... W końcu domyjemy smolucha, bo kiedyś to trzeba zrobić, ale do tego czasu, trudno-darmo, nie możemy powiedzieć, że kuchnia jest w porządku, tip-top.

Garnek to drobiazg, ale w wypadku jakichś większych robót nieprzyszyście guzików przekreśla efekt, a nawet i sens przedsięwzięcia. To jest ten kawałek nie przybitej listewki, to krzywe pociągnięcie pędzlem po półce, nie postawione na swoim miejscu sprzęty. Zostawiamy te „guziki” na potem, bo już mamy wszystkiego dosyć, bo nie mamy już sił, bośmy zapomnieli. I tym sposobem, choć narobiliśmy się jak dziki osioł, mamy zamiast satysfakcji poczucie niedosytu, niespełnienia, życia „w wiecznym bałaganie”. Często zresztą istotnie powstaje z tego „wieczny bałagan”.

Pół biedy jeszcze, kiedy dopięcie roboty na ostatni guzik zależy tylko od nas. Wreszcie, jeśli nie jutro, to pojutrze mogą złapać się za kołnierz i zmusić do wykonania końcówki. Sprawa wygląda nieporównanie gorzej, jeśli tę pracę wykonuje kto inny, kogo za kołnierz ciągnąć nie możemy.

Rzemieślnik, wszystko jedno – malarz, hydraulik, stolarz, ma jeszcze większą awersję do porządnego wykończenia roboty niż „inwestor”. Następuje bowiem zawsze taki moment, kiedy zaczyna mu się spieszyć, chce skończyć i iść. My też, mając po uszy trocin, tynku czy kałuż, o niczym innym nie marzymy, jak żeby skończył i poszedł. Tak więc jesteśmy nader skłonni do machnięcia ręką „dla świętego spokoju”.

Przeżyłam już bardzo wiele inwestycji domowych i jako „inwestor” nauczyłam się przynajmniej jednego: nie dawać zaliczek. Wypracowałam sobie nawet zgrabną formułkę: kiedy mistrz kielni czy młotka zapewnia mnie o swojej uczciwości, że on naprawdę musi mieć zaliczkę na materiały, odpowiadam, że wierzę w każde jego słowo, ale tyle razy mnie różni ludzie nabierali, że już stałam się nerwowa w tym punkcie i „proszę zrozumieć, to nie jest brak zaufania do pana, tylko taki uraz, nerwy, no a przecież chcę spać spokojnie”... Zawiedziony, ale nie obrażony mistrz jakoś się bez zaliczki obywa.

Z egzekwowaniem poprawy niedoróbek idzie mi o wiele ciężiej, właściwie z reguły nie wychodzi. Moment rozliczeń zbiega się, jak wspomniałam, z momentem zmęczenia fizycznego i psychicznego, osłabieniem woli i uwagi. Człowiek jest po prostu, jak mówi młodzież, „wymiękły”. W tym momencie należałoby się wycofać i do tzw. odbioru i rozliczeń delegować kogoś innego, kto jest jeszcze świeży, twardy i pryncypialny, jednym słowem, kogoś, kto dotychczas trzymał się z dala od całego bałaganu. To też wymaga wysiłku i dyplomacji, ale czasem się udaje.

## KOŃCZYĆ DO KOŃCA

Nie wiem, czy to jest tylko moja osobista przypadłość, czy też bardziej rozpowszechniona, dość, że o wiele łatwiej doprowadzić mi do szczęśliwego zakończenia pracę, którą wykonuję sama, niż wyegzekwować ostateczny finał, „zapięcie na ostatni guzik” od innych. Teoretycznie wiem, że właśnie w finale trzeba wykazać szczególną siłę charakteru i nie dopuścić, żeby stolarz sobie poszedł, nie przybiwszy zapomnianej przedtem listewki, albo nie pożegnać hydraulika, kiedy jeden kran w piwnicy jeszcze kapie. Ale zdarza mi się to notorycznie, choć niby znam środki zaradcze.

Po pierwsze, nim „odbierzemy robotę”, trzeba wykonać przegląd niedoróbek i w miarę wcześniej zwrócić na nie uwagę wykonawcy, a potem łązić za nim jak zły duch za grzeszną duszą i nudzić: a jeszcze to, a jeszcze tamto. Takie działania nękające są skuteczne, bo by tak rzec, odbijają piłeczkę, jaką jest tęsknota do świętego spokoju: wpierw my, dla świętego spokoju, jesteśmy skłonni odpuścić wykonawcy ów ciekący kran, potem on, też dla świętego spokoju, żeby „się baba odczepiła”, uszczelkę jednak założyć.

Po drugie, nieźle skutkuje straszenie wykonawcy (ale i siebie też) osobą trzecią. Zastosowanie chwytu znanego z noweli Dickensa, gdzie pan Marlow rad by nieba przychylić klientowi, ale pan Scrooge, jego wspólnik, tymczasem nieobecny, jest już taki, że grosza nie opuści, „więc niestety”... Pan Marlow i pan Scrooge wymieniają się rolami zależnie od okoliczności, zawsze jednak nieugiętym jest ten, którego akurat nie ma. W życiu domowym wspólnikami są mąż i żona. „Ja wiem, proszę pana, że pan to na pewno zrobi w poniedziałek, ale żona mnie zamęczy, jeśli w niedzielę jeszcze będzie bałagan” – oto tekst dla męża. A dla żony: „Oczywiście, przecież widzę, że dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procenta roboty już gotowe, ale mąż pozwala mi płacić tylko za sto procent”.

Takie komedyjki bywają skuteczne, ale tylko pod warunkiem, że żadne z aktorów nie wypadnie z roli, a to się niestety zdarza. Dobrze więc jest wmówić sobie, że naprawdę boimy się współmałżonka(ki) i zarzutów, że „nie dopilnowałeś(aś)”. Wiele tam zresztą nie trzeba sobie wmawiać: istotnie boimy się wyrzutów za niedopilnowanie i wystarczy ten strach trochę w sobie podkręcić, o tyle mianowicie, by jego poziom przewyższał chęć „świętego spokoju”.

Jest także i trzeci sposób, który można stosować zarówno wobec pracowników z zewnątrz, jak i domowników. To znaczy, zwyczajnie i po prostu wepchnąć końcówkę w cudze ręce. „Ja już nie mam siły i nerwów, ty to dokończ”. Jest to rodzaj kapitulacji, przyznanie się do niemożności psychicznej bądź fizycznej, ale mimo wszystko wyjście honorowe i mogące nawet w przyszłości przynieść błogosławione skutki. Właściwie nawet należałoby je wstawiać do harmonogramu od samego początku, tylko że harmonogramy układa się zwykle optymistyczne, co też ma swoją przyczynę: gdybyśmy z góry zakładali, że tak to pójdzie, to w ogóle balibyśmy się cokolwiek zacząć. A jak mówi hobbickie przysłowie: „najdłużej trwa ta robota, której wcale nie zaczęliśmy”.

## CUDZE RĘCE LEKKIE, ALE NIE POŻYTECZNE

Ciekawe, że zasadę zawartą w tytułowym przysłowiu wyznają przede wszystkim kobiety. Widać jest to zakodowane genetycznie albo co, dość, że to raczej panie, jeśli już nawet zmobilizują do pomocy kogoś z domowników, po pewnym czasie same go odpędzają ze słowami: „Daj to już mnie, słabo się człowiekowi robi, kiedy patrzy, jak się do tego zabierasz”. To wtedy, gdy – jak mówię – zdobędą się na wezwanie pomocnika. Częściej bowiem rezygnują z niego w ogóle. „Jak mam widzieć tę nadętą, niechętną minę... Jak mam dziesięć razy prosić i przypominać... Nim on się do tego zabierze, ja trzy razy zrobię” – takie to i podobne zdania da się słyszeć w każdym domu.

Jest w nich i trochę racjonalnych powodów. Rutynowe prace domowe mają swój rytm i kolejność – jeśli wyręczam się kimś przy nakrywaniu stołu, to ten stół musi być już nakryty w momencie, kiedy odcedzam ziemniaki i wyjmuję pieczeń z piekarnika, inaczej „cały obiad na nic”. Nieudolny pomocnik, który spóźnia się z robotą albo co chwila pyta: „a gdzie to jest”, „a czy mam to zrobić tak czy tak?”, podający dużo zamiast śrubokręta, przynoszący z piwnicy dżem zamiast borówek (mimo że na słoiku jak byk „stoi napisane”) może „głównego wykonawcę” doprowadzić do furii i okrzyku: „A idź do diabła, obejdzie się bez ciebie!”. Na co delikwent, raczej obrażony niż skruszony, z chęcią przystaje.

Są też prace, które muszą być wykonane z dużą dokładnością i znajomością rzeczy; w takich wypadkach cudze ręce są istotnie nieużyteczne. Na przykład nie zlecę nikomu pielienia zjadliwego zielska pt. „kurza łapa” (jeśli mi się przez złośliwość losu i natury zapłacze na grządki), bo ja i tylko ja odróżniam korzenie tego zielska od korzeni irysów, to raz, po drugie, ja i tylko ja zdaję sobie w pełni sprawę, że zostawienie jednego zucheleczka kłacza „kurzej łapy” odbiera sens całej robocie. Podobnie jest z ustawianiem książek w regale: może to robić tylko ich użytkownik, bo profan ustawi może i ładnie, do koloru i pod sznurek, cóż z tego, kiedy zburzy przy tym całą subtelną logikę księgozbioru, według której np. Heinego nie wolno wyrzucać do półki „niemieckiej”, bo ma stać obok Villona i Gałczyńskiego, jak stał przez trzydzieści lat.

Ale już na tym przykładzie można udowodnić, że cudze ręce jednak mogą być użyteczne, i to jak! Te cudze ręce mogą wytrzeć na glanc regał, sukcesywnie odkurzać książki, podawać je głównemu wykonawcy, kiedy przyjdzie kolej na najwyższe półki, itd., itp.

Po rozważeniu całej tej dziwnej sprawy (bo to jednak jest dziwne, to uciekanie od pomocy) widzę dwie przyczyny niskiego notowania „cudzych rąk”. Obie w gruncie rzeczy natury bardziej psychologicznej niż praktycznej. Pierwsza to zarozumiałe przekonanie, że nikt tego nie zrobi lepiej niż ja. Ma ono często bardzo nikłe podstawy, jest czasem wręcz śmieszne, no ale się zdarza. Byłam np. przez dłuższy czas w zażyłości z daleką krewną, panną z dobrego domu i w dodatku starą. Chciałam jej trochę ulżyć, więc gdy u nas było wielkie pranie, przy okazji prało się i jej pościele i obrusy. Krochmaliłam jak swoje, naciągałam, posyłałam do elektrycznego magła, wszystko o.k. Aliści ze dwa razy zdarzyło mi się przyłapać ciotkę, jak te poszwy i obrusy pracowicie po swojemu prasuje. „U licha – wydziwiałam w duchu – to już naprawdę nie ma nic ważniejszego do roboty? Ot, choćby i porządek w kuchni, gdzie tylko dziada z babą brak”. Ale stara ciotka, jako panna z dobrego domu, miała wyrobiony pogląd na to, jak powinno wyglądać w bieliźniarce, nie miała zaś – na wygląd kuchni. I koniec, nie było gadania.

Druga przyczyna niechęci do „cudzych rąk” też jest psychologiczna: domownikowi wzywaniem do pomocy wyznacza się na ogół zadania uciążliwe, a drugorzędne, przy których nie może ani się popisać, ani porządzić. Stąd to wykręcanie się, mina pełna odrazy i byle jakość wykonania. To z kolei irytuje „głównego wykonawcę”, który czuje się dotknięty brakiem solidarności, też się nadyma i przysięga sobie w duchu, że prędzej pęknie, nim drugi raz poprosi o pomoc. Wprawdzie przysięga jest nie do dotrzymania, ale nim się ją złamie, upłynie dość czasu, by potencjalny pomocnik odzwyczaił się od swej roli. Wobec tego podejmuje ją z jeszcze większą odrazą, co zleceniodawcę podnieca do nowych przysiąg, „że już nigdy”, i tak to zaczyna się kręcić fatalna „spirala w dół”.

Wiem, wiem, w dobrze zorganizowanym domu każdy ma jasno określone obowiązki, na ścianie wisi harmonogram zadań i podział pracy, a do opisanych wyżej sytuacji w ogóle nie może dojść. Wierzę, że takie domy istnieją, czytałam i słyszałam o tym, ale ich na własne oczy nie widziałam. Życie jest takie „niezorganizowane”, odporne na zamykanie w ramach i harmonogramach...

Więc zamiast ramek próbuję sobie ułożyć pewną ogólną strategię. Także w zakresie „cudzych rąk”.

## ZOSIA, NIE BĄDŹ SAMOSIA

„Poradnik dla leni” zmienia mi się jakoś dziwnie w poradnik dla pracusiów, żeby się bezsensownie nie szarpali. Choć samej nie bardzo mi to wychodzi, dorobiłam się jednak paru pomysłów na „odsamosienie się”, czyli – jak sobie zorganizować pomocnika. Otóż sprawą podstawową w tej mierze jest: wczuć się w duszę pomocnika. „Nie pamięta wół, jak cielęciem był”, więc niech sobie przypomni, jak w cielęcych latach zgrzytał zębami, kiedy mama kazała mu „skoczyć po chleb” – akurat wtedy, kiedy na progu czekał kolega z piłką pod pachą. Jak jęknął(ęła), kiedy z westchnieniem ulgi kończył(a) podlewanie truskawek, a tu tata dołożył mu(jej) jeszcze mały drobiażdżek w postaci wyniesienia trzech kubłów chwastów na śmietnik. Mamy skłonność traktować dzieci, zarówno małe jak i dorosłe, jako osobniki nie mające nic ważnego na głowie. „Wychodzisz? To nadaj po drodze ten list” – mówimy nie pytając, czy to rzeczywiście po drodze, a potem jesteśmy rozżaleni z powodu odmowy lub niechętniej miny.

Więc po pierwsze, nie trzeba zaskakiwać potencjalnego pomocnika zleceniami. Zlecenie nie w porę, choć drobne, przestaje być drobiazgiem. Nie można mówić: „Jak już przyniosłeś drabinę, przybij jeszcze listwę tam u góry”: „Jak już szyjesz, zszyj jeszcze te prześcieradła”, bo takie zlecenie w istocie swej niewiele różni się od rozkazów nieczułej żony wołającej do męża: „Jak już zleciałeś do piwnicy, to przynieś węglą”.

Rola pomocnika jest z natury niewdzięczna, podrzędna, po co więc obrzydzać ją dodatkowo nieprzewidzianymi zadaniami. Pomocnik lubi wiedzieć, co odkąd – dokąd ma zrobić, bo wtedy opłaca mu się pospieszyć, no i może sobie w ogóle pracę w przydzielonym mu odcinku zorganizować. Dlatego też i główny wykonawca powinien dobrze wiedzieć, czego chce. Do cichej rozpaczki doprowadzało mnie w młodości generalne sprzątanie wspólnie ze wspomnianą już ciotką – starą panną. Wyglądało to mniej więcej tak: „To może najpierw wynieś śmieci”. Dobrze – wynoszę pół kubelka i wracam, a tu ciotka beztrąsko: „Patrz, zupełnie zapomniałam o tym spleśniałym chlebie” – i buch, zapelnia mi kubek znowu do połowy. „To może go wyniosę, jak się więcej nabiera”. „Nie, nie, bo kubek nam będzie potrzebny przy zmywaniu podłogi”. „Podłogę zmyję na końcu”. „Tak, tak, ale przedtem zniesiesz w nim do piwnicy niepotrzebne słoje”. „A gdzie one są?” – pytam.

„Tu” – ciotka otwiera szafę i zaczyna medytować, które umyć, które wyrzucić, które zostawić w kuchni, które do piwnicy, jako przerywnika używając zwrotu „chwileczkę, poczekaj”. Przeszuję z nogi na nogę, wreszcie proponuję, że może tymczasem wezmę się za coś innego. „Tak, tak, możesz zdjąć i zamoczyć firanki. Albo: „nie, bo woda jeszcze się nie zagrzała. To wyszczotkuj fotele. Nie, czekaj, muszę z nich zabrać gazety”. – „To ja zabiorę”. – „Tak. Nie, ja muszę je najpierw przejrzeć, bo jednego *Tygodnika Powszechnego* jeszcze nie doczytałam”. – To może ciocia przejrzy, a ja powyjmuję słoiki”. – „Dobrze. Ale nie, czekaj...” I tak do dziesiątej wieczór.

Sprzątanie z „niepozbitą” ciotką zapadło mi głęboko w pamięć, więc bardzo się staram, żeby nie iść w jej ślady, poza tym nie lubię (jak pewnie każdy) wiecznego nudzenia pomocnika: a co mam teraz zrobić?, a jak?, więc kiedy coś robię wspólnie z synem lub córką, dążę do tego, żeby praca była dość jasno posegmentowana. „Ja zrobię ciasto, a ty posiekaj bakalie”. „Ja zaznaczę gałęzie do obcięcia, a ty tymczasem porąb te suche spod płota”, itp.

Wyraźny podział pracy ma i tę zaletę, że nieszczęsny pomocnik czuje się na swoim odcinku głównym wykonawcą i może z tego czerpać pewną satysfakcję. Choćby i tę, że nikt

nim bezustannie nie przerządza. Bo główny wykonawca robi to jakoś spontanicznie, choćby nawet okazjonalny pomocnik miał więcej doświadczenia, ale np. – mniej siły. Bywa tak, że ja lepiej wiem, jak się coś rozkręca, ale tylko syn mocną dłońią może ruszyć zardzewiałe wkręty. Tym niemniej, ujawszy śrubokręt, od razu degraduje mnie do roli „podaj, przynieś”. Znoszę to w pokorze, bo jak mówię, trzeba się wczuć w duszę pomocnika.

Byle nie za mocno. Byle nie aż tak, by odczuwana przez niego odraza już nie tylko do podrzędnej roli, ale roboty w ogóle, nie wzbudzała w nas tak wielkiego współczucia, że miłosiernie machamy ręką i samosiujemy po dawnemu. Bo miłosierne współczucie przechodzi, zaś skryta uraza zostaje, a po co nam to?

## OCH, TE GODOTY...

Nawet ci, którzy nigdy nie widzieli sztuki Becketa, wiedzą, co to jest „Czekanie na Godota” – tytuł sztuki bowiem stał się przysłowiowy, oznacza w mowie potocznej bezsensowne, męczące czekanie. Te Godoty, co to mają przyjść, a nie przychodzą, każdemu kiedyś zdrowo zalazły za skórę. Nie sposób policzyć, ile czasu i nerwów namarnowała nam cudza niesłowność i niepunktualność. Na ogół zresztą uważamy je za dopust boży, plagę, wobec której jesteśmy bezbronni i niewinni. „No co ja poradzę, że ten skurczybyk już trzeci tydzień obiecuje, że przyjdzie naprawić spłuczkę, a nie przychodzi?” – mówimy, patrząc najpierw ze złością, a potem dość już obojętnie na lejącą się zwawym strumyczkiem wodę w toalecie.

Im dłużej czekamy na Godota z holajzą, tym bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że „bez holajzy ani rusz”, a to czasem może być nieprawda. Godoci bowiem są nie tylko źródłem naszej irytacji, ale także czynnikiem „leniogenym”: blokują naszą inicjatywę, dostarczają poręcznego pretekstu, żeby nic nie robić, tylko czekać. Pozostańmy przy przykładzie ze spłuczką: Godot obiecał przyjść we wtorek około dziesiątej (oczywiście „około”, a nie „o” – po tym „około” można poznać Godota na pierwszy rzut oka!). Wobec tego odkładamy wyjście po zakupy na jedenastą, dwunastą, kiedy już teoretycznie Godot powinien zrobić swoje i iść. Mija dwunasta, dajemy mu jeszcze pół godziny szansy, na próżno, nie skorzystał. No i dwie i pół godziny zeszły nam na obijaniu się z kąta w kąt, a zakupy robimy w pośpiechu i byle jak. Godot, monitowany telefonicznie albo spotkany na ulicy, albo dopadnięty w warsztacie, wyznacza nam nowy termin w przyszłym tygodniu. Wobec tego odkładamy do tego dnia i zmycie kafelków, i porządkowanie półek w łazience, i nawet wymianę ręczników, no bo przecież wiadomo, że Godot zostawi po sobie chlew, więc się wszystko zrobi za jednym sprzątniem.

Jest to wniosek niby logiczny, ale – po pierwsze: zmusza nas przez czas nieokreślony do bytowania w zapuszczonej łazience, co jest nieprzyjemne, po drugie – kiedy już wreszcie możemy ją sprzątnąć, „zapuszczenie” osiąga taki stan, że porządkowanie staje się punktem programu na całe popołudnie, którym akurat nie dysponujemy, bo tymczasem pojawiło się jakieś inne, nie cierpiące zwłoki zadanie. Tak czy owak czekanie na Godota powoduje najpierw stratę czasu, a potem dotkliwy jego deficyt, spiętrzenie robót, którego, jak już wspominałam, należy unikać jak ognia, bo jest wszechstronnie niszczące.

Przed Godotami trzeba się bronić i to od początku, do wstępnej rozmowy, więc przede wszystkim nie zgadzać się na żadne „około”, żadne „w środę albo w czwartek”. On i tak przyjdzie „około”, ale niech to „około” dotyczy tylko godziny, nie tygodnia. I tu broń Boże nie przyznawajmy się, że mamy – sami czy ktoś z rodziny – czas na czekanie. Przeciwnie, musimy przedstawić się Godotowi jako ludzie mający dzień co do minuty rozplanowany. Godotowi, choćby robił nie wiem jakie miny łaskawcy, zależy przecież na zapłacie i przyciśnięty do muru, zgodzi się na ścisły termin (być może kosztem innego klienta, ale nie mamy obowiązku litować się nad kimś nieznanym – niech sam się ratuje). Jeśli zaś mimo wszystko się nie zgodzi, to zdobądźmy się na stanowczość i powiedzmy „dziękuję”. Możemy być na dziewięćdziesiąt pięć procent pewni, że poszukanie innego fachowca nie zajmie nam więcej czasu niż czekanie na „naszego” Godota.

Zdarza się wprowadzić tak, że Godot przyrzeknie, ale ufny w swoją bezkarność, nie dotrzyma słowa. Wtedy – trudno, trzeba ryzykować – dotrzynamy go sami. Piętnaście minut

po wyznaczonym terminie zamykamy budę i idziemy do innych zajęć. Jeśli mamy silne nerwy, możemy nawet tylko udać, że nas nie ma w domu. Na ogół maestro, pocałowawszy kławkę, pokornieje, dyscyplinuje się.

Najlepszym środkiem dyscyplinującym maestra od holajzy byłoby pokazanie mu roboty już wykonanej. W wielu wypadkach to jest możliwe. Czasem wystarczy poprosić sąsiada, czasem zaś okaże się nawet, że sami czy ktoś z rodziny potrafi przeniknąć tajemniczą konstrukcję spłuczki, odkryć, dlaczego „droselklapa nie ryksztosuje” i doprowadzić ją do porządku. Tym sposobem uwolnimy się radykalnie od jednego Godota. Ale Godotów jest wiele odmian i trzeba mieć na podorędziu różne taktyki.



## CZEKANKO NA GODOCIKA

Oprócz wielkich Godotów, którzy każą czekać na siebie całymi dniami i tygodniami, są na świecie i małe Godociki, takie „kwadrans, góra godzinka”: goście, którzy spóźniają się na proszony obiad akurat o tyle, żeby pieczeń w piekarniku zdążyła wyschnąć na wiór, albo znajomkowie, którzy zapowiadają, że wpadną „wieczorkiem” i wpadają piętnaście po dziewiątej, odrywając mnie od „Burzy” Szekspira i Prospera – Zapasiewicza, i tym podobni.

„Gość nie w porę gorszy od Tataru” mówiło się w dawnej Polsce, z wielką przesadą oczywiście, bo nawet najfatalniej zjawiający się gość jednak nie spali nam chałupy i nie uprowadzi dzieci w jasyr. Ale małe kataklizmy czy bodaj nieprzyjemności, owszem, może na nas ściągnąć. Trzeba więc być przewidującym: jeśli spodziewamy się kogoś na obiad lub gorącą kolację, trzeba wstawić do harmonogramu ewentualne spóźnienie i przygotowywać takie potrawy, którym przygrzewanie bądź długi pobyt w piekarniku nie szkodzi (spóźniali mi się kiedyś goście, cudzoziemcy, wobec których chciałam popisać się arcypolską potrawą, mianowicie karpem w szarym sosie. Karp był zagrożony rozgotowaniem na miazgę, sos – nadmiernym zgęstnieniem, więc zdobyłam się na śmiały krok: ułożyłam karpia w naczyniu żaroodpornym, zalałam sosem i wstawiłam „na mały gaz” do piekarnika. Wyszło coś absolutnie świetnego, lepszego niż klasyczny karp z wody!).

Z przyjaciółmi o słabym poczuciu czasu i zamglonym pojęciu pór dnia („ranek” trwa u nich do południa, „południe” rozciąga się od jedenastej do piętnastej) też można sobie jakoś poradzić, ustalając przynajmniej terminy graniczne: „świetnie, ale nie przed jedenastą, bo odbieram pranie i mogę nie zdążyć”, „wolałabym konkretniej, bo na dziewiętnastą jestem już umówiona”. Tym sposobem mogę do jedenastej pisać nie nad słuchując, czy dzwonek nie brzęczy, bądź nie denerwować się przez całe popołudnie, że z powodu Godocika ucieknie mi „Burza” i Zapasiewicz.

Choćbyśmy jednak byli nie wiem jak chytry i przemyślni, „czekanki na Godocików” tak zupełnie i w ogóle nie da się uniknąć. Bo Godocikiem może być i listonosz, i ciasto, które jakoś nie chce się dopiec, i sklep, który nie wie gdzie czemu otwierają dopiero o dziewiątej... Powstają wtedy dziury czasowe, jałowe kwadransy dochodzące do godziny, za krótkie, żeby je zwyczajnie obrócić na odpoczynek (nie odpoczywa się, jeśli się na coś czeka!), za długie, żeby je spisać na straty bez irytacji. Władysław Tatarkiewicz, postać, którą adoruję od wczesnej młodości, pisze w swoich (znakomitych, uroczych, przemądrych!) „Zapiskach do autobiografii”: „Nie lubię siedzieć beczynnie. Tego kwadransa, jaki nieraz upływa między powrotem do domu a posiłkiem czy przyjęciem gościa, nie mogę spędzić bez zajęcia, żartem mówię, że w te kwadransy napisałem moje książki, ale w tym żarcie jest odrobina prawdy”.

Jakżeż podziwiam i zazdroszczę tej umiejętności! Sama w czasie takiego „jałowego kwadransa” nie potrafiłabym napisać nawet konwencjonalnego listu, na który obiektywnie rzecz biorąc, nie trzeba więcej niż piętnaście minut, i nic na to nie poradzę. Ale przykład Tatarkiewicza zapadł mi w pamięć i próbuję go w bardzo przyziemny sposób naśladować. Istnieje pewien rodzaj robót, które bardzo nieelegancko nazywam „pchłami”, bo są małe, dokuczliwe, a zmasowane – żyć nie dadzą. Otóż likwidowanie takich „pchół” jak raz nadaje się na czas „czekanka na Godocika”. To jest ten kwiatek, któremu od dawna należy się większa doniczka, urwany wieszak od ręcznika, stare gazety, które trzeba czymś związać i położyć na kubły dla zbieraczy makulatury, porządne umycie kubków w łazience, różnie. Zależy to także od nastroju: jeśli w danym momencie nas „nosi”, lepiej wybrać zajęcia stojące

bądź chodzące: poporządkować coś w kuchennej szafce, ułożyć w kartonie buty z minionego sezonu... Jeśli zaś „dzień się już przechylił” i lecimy z nóg, to niezłe jest coś monotonnego, wykonywanego na siedząco: więc przede wszystkim szycie, ale także np. czyszczenie łyżeczek, naprawa końcówki przedłużacza albo choćby i ostrzenie noży na osełce.

O jednym tylko trzeba pamiętać: musi to być robota, którą w każdej chwili można odłożyć. Gdybyśmy bowiem zabrali się np. do prasowania, to gładko mogłoby się zdarzyć, że w zmieszaniu i popłochu powitalibyśmy na progu gościa słowami: „Poczekaj momentik, przepraszam, ja tylko...” – i w ten sposób role by się odwróciły: to my bylibyśmy Godocikiem dla gościa, który przecież jest zalatany i wpadł rzeczywiście na małe pół godzinki...

## NAJDOKUCZLIWSZY Z GODOTÓW

Konstanty Ildefons Gałczyński, który twierdził, że „już w starożytnym królestwie Babilu badano problematykę inkasa i ci poeci, co byli kapłani, bez forsy, jak wiadomo, ani ani”, napisał także:

*Człowiek robi się wariat,  
gdy czeka na honoraria.  
Za firanką stoi żona,  
wypatruje pocztyliona.  
Wypatruje, wypatruje,  
rączki białe załamuje...*

Żona z wierszyka zachowuje się nieracjonalnie: wypatrywanie pocztyliona nic nie da, tym bardziej zaś załamywanie białych rączek. Już lepiej by wzięła i wykręciła do redakcji czy wydawcy, choć pewnie i ten zabieg byłby mało skuteczny. Tak czy owak wszakże sytuacja opisana w cytacie pokazuje, do jakiego stanu może nas doprowadzić najdokuczliwszy z Godotów, czyli pieniądze, które mają przyjść, a nie przychodzą.

Co do mnie, to dzielę pieniądze na małe, średnie i wielkie. Nad małymi, czyli bieżącymi, od pierwszego do pierwszego, panuję całkiem nieźle. Jeszcze w czasach, kiedy były one małe, wypracowałam sobie ostry reżim finansowy i jak mi się budżet domowy wskutek jakiejś nieprzewidzianej płatności zaczyna walić, wprowadzam – niczym nasz rząd – surowe restrykcje, z powodu których cierpi „ludność”, tj. domownicy (z jadłospisu znikają np. szynka i schab), ale wychodzę z tego bez deficytu. Wielkie pieniądze też nie sprawiają mi kłopotu, bo ich nie ma i nie będzie. Najgorzej jest ze średnimi, takimi na „dobra trwałego użytku”, remonty i inwestycje domowe. Kiedy nabierają charakteru Godota, to nie tylko „człowiek robi się wariat”, ale popada w pasywność, leniwieje i zwala na monetarnego Godota braki i zaniedbania, z którymi przy pewnej dyscyplinie i mobilizacji mógłby sobie poradzić i przed zjawieniem się wytęsknionego pocztyliona.

Powiedzmy, że oczekiwane „średnie pieniądze” (za pracę zleconą, jakieś tam wyrównanie, trzynastkę) postanowiliśmy przeznaczyć na uporządkowanie kąta kuchenkowego: zamontować okap, dać kafelki, wymienić poobijany zlewozmywak, itp. Monetarny Godot nie przychodzi, tymczasem urywa się wieszak na ścierki, eksplodujące powidła narobiły kropek na suficie, z jakichś tam powodów odleciał kawał lamperii przy kuchence, w kranie zużyła się uszczelka i kapie – to nic, poczekajmy, zrobi się to wszystko potem, za jednym zamachem. I tak przyzwyczajamy się do Badziewia, ale z drugiej strony – narasta w nas niechęć do owego parszywiejącego kąta w kuchni i jakieś takie ogólne poczucie dyskomfortu, na melodię „wszystko krzywe, wszystko nie takie”...

Zamiast kąta kuchenkowego można by rozpatrywać zabudowę przedpokoju, generalną modernizację regałów na książki, różnie. Rezultat jest zawsze taki sam: niezrealizowany zamiar inwestycyjny zaraża otoczenie niczym zgniłe jabłko inne, zdrowe, ale mające nieszczęście leżeć koło niego.

Jedyna rada na takiego „Godota” to skreślić go, zapomnieć, udawać, że się na niego wcale nie czeka. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, ale czasem się to udaje. W ten sposób udało mi się zagospodarować wiatrołap. Miała być tam szafa z rozsuwanymi drzwiami, szafka na buty i wieszak. Godot (honorarium za powieść) nie przychodził przez dwa lata, sytuacja była nieznośna, więc zdecydowaliśmy się jednak na rozwiązanie zastępcze. Szafkę na buty i

wieszak zrobił syn ze starych kłamek, w miejsce rozsuwanych drzwi daliśmy zasłonę i te rozwiązania okazały się wygodniejsze niż projektowane. A kiedy „Godot” wreszcie raczył się objawić, mogliśmy go potraktować wręcz jak świętego Mikołaja i przepuścić forszę na same przyjemne rzeczy. Co było zresztą lekkomyślnością, bo niebawem pojawiły się nowe potrzeby inwestycyjne i zaczęło się czekanie na kolejnego Godota. Ale „takie jest życie, nie?” – jak śpiewa Ewa Demarczyk o skrzypku Hercowiczu.

## ZGUBNY PERFEKCJONIZM

Conrad Korzeniowski mówi na wstępie do jednego ze zbiorów swoich opowiadań: „Co do noweli »Jutro«, to niektórzy krytycy twierdzą, że mogłaby być napisana lepiej. Wszystko mogłoby być zrobione lepiej. Ale tak radykalny perfekcjonizm może łatwo doprowadzić do tego, że nie zrobimy w ogóle niczego”.

Dążenie do doskonałości, wyznaczanie sobie najwyższych parametrów jakościowych bardzo często daje rezultaty ludzako podobne do najpospolitszego lenistwa. Oto, powiedzmy, przy drzwiach kuchennych pękła plastikowa klamka. Winna temu jest żona, bo niosąc oburącz na balkon gar z gorącym bigosem, tymże garem chciała otworzyć drzwi, rąbnęła z góry w klamkę za mocno, no i masz. Skruszona mówi do męża: „Słuchaj, jak robiłam porządek w pawlaczu, widziałam w pudle z narzędziami jakieś stare zamki i klamki. Może coś z tego nada się na tymczasem?”

Mąż najpierw wyraża oburzenie z powodu „grzebania w jego rzeczach”, bo pudło z narzędziami to teren zamknięty dla babskiego, pożał się Boże, porządkowania. Potem wygłasza dłuższy spicz o tym, że wszelkie rozwiązania „na tymczasem” są diabła warte, bo jak wiadomo, nie ma nic trwalszego niż prowizorka, wreszcie jednak wyjmuje pudło i zaczyna w nim przewracać. Po chwili obwieszcza z tryumfem: „Mówiłem, że tu nic nie ma” (wcale nie mówił). Żona zaglądnąca mu przez ramię jednak nie popuszcza: „Słuchaj, ale może ta klamka by pasowała?” Mąż z miejsca odpala: „Przecież widzisz, że to inny typ”. Żona nic nie widzi, a w ogóle wyznaje zasadę „nie uwierzę, aż zmierzę”, bierze rzeczony „klamot” i wtyka w zamek. „Eee, dlaczego, przecież wchodzi”. „Wchodzi, wchodzi – prycha szyderczo mąż – ale ma luz. Jest od starych, grubszych drzwi, a nasze są typowe. Poza tym jest metalowa, to jak to sobie wyobrażasz? W całym mieszkaniu plastik, a tu ci sterczy jakaś parszywa cyna. Chcesz mieć Badziewie w domu?”

Żona nie chce mieć Badziewia, ale nie chce też mieć trudności z otwieraniem, a zwłaszcza z zamykaniem kuchni, więc powiada chytrze: „No dobrze, ale gdzie ty teraz znajdziesz taką samą, jak w innych drzwiach?”. „W każdym sklepie – zapewnia mąż – przecież to klamka typowa, produkuje się tego na tony. W poniedziałek po pracy kupię”.

W poniedziałek rano zabiera ocalałą część klamki na wzór, ale wraca bez nowej. „Jednak nie mogłeś dostać?”. „Mogłem, ale nie w tym odcieniu. Jutro będę na Brodwinie, tam mają pełny wybór”. We wtorek jednak było mu na Brodwinie nie po drodze, w środę w sklepie przeprowadzano remanent, potem coś tam, a w następny poniedziałek okazało się, że wprawdzie odcień, owszem, się zgadza, ale kształt jest inny. „No to trudno, mogłeś wziąć, co było” – ubolewa żona, której dojadło już przymykanie i odmykanie drzwi nogą.

„Nigdy w życiu” – odpowiada nasz perfekcjonista. – Już wolę zmienić klamki we wszystkich drzwiach, byleby było jak należy”.

Jest przed pierwszym, na klamki do wszystkich drzwi nie ma pieniędzy, po pierwszym też nie, bo przyszedł horrendalnie wysoki rachunek za telefon. Żona chyłkiem zakłada, oczywiście byle jak, po babsku, wzgardzoną, nietypową metalową klamkę, mąż patrzy na to z politowaniem, ale przez grzeczność już nic nie mówi. Tymczasem zresztą przyszła mu do głowy nowa, jeszcze bardziej perfekcjonistyczna koncepcja, żeby wymienić nie tylko klamki, ale i zamki, bo ten od łazienki się zacina, a od pokoju dzieci zginął klucz. Wprawdzie już minął czas, kiedy dzieci zamykało się „za karę”, ale zbliża się moment, kiedy one będą chciały się zamykać. Bo w ogóle, jak coś zrobić, to porządnie.

I tak mijają tygodnie i miesiące, żona jakoś sobie radzi z badziewiastą kłamką, która co rusz wylatuje, bo założona po babsku. Ale mąż perfekcjonista nie zniży się do tego, żeby ją lepiej umocować – przecież nie może sankcjonować partactwa.

I mimo jego najlepszych chęci nieuchronnie zbliża się dzień, kiedy żona wybuchnie, że już woli partactwo niż takie wredne lenistwo i zawoła fucharza. Fucharz założy kłamkę, mąż po powrocie z pracy spojrzy na nią krzywo i powie: „Mogłaby być założona lepiej”. Odpowiedź żony zależy od zasobów jej cierpliwości i stanu nerwów.

## PERFEKCJONIZM DAMSKI

Opisany powyżej perfekcjonizm był typowo męski: to panowie w dążeniu do doskonałości wyznaczają wysokie parametry jakościowe przede wszystkim narzędziom i materiałom. Mogłabym napisać dziesiątki opowiadań, jak to z braku właściwej deski lub porządnej piły rodzina przez całe lato musi przeskakiwać złamany schodek do altanki na działce, bo pan domu z „takiego byle czego” „takim byle czym” nie będzie robił nowego.

Damski perfekcjonizm jest inny. Przejawia się on np. w nieustannym sprzątanu, owym przysłowiowym ścieraniu najmniejszego pyłka. Zjawisko zbyt znane, żeby je opisywać, z pogranicza maniactwa. Istnieje jednak oprócz niego i „perfekcjonizm napadowy”, przydarzający się z nagłą nawet skądinąd zupełnie rozsądnym kobietom. Na przykład przy zmywaniu pani zauważa, że jedna z łyżeczek pociemniała. Bierze więc pastę czyszczącą, przeciera łyżeczkę, a przy okazji glancuje i inne, znajdujące się w zlewozmywaku. Błyszczą teraz tak pięknie, że na ślepo można przysiąc, że te, które pozostały w szufladzie, wyglądają przy nich jak kopciuchy. Żeby już wszystkie były w stanie doskonałym, pani wyjmuje i tamte. Ale dlaczego tylko łyżeczki? Czy widelce są od macochy? Ni z tego, ni z owego zwykłe, rutynowe zmywanie przemienia się w wielkie czyszczenie sztućców.

Ba, ale na tym się nie kończy: grzech by było tak piękne sztucce wkładać do przegródek z jakimiś tam paprochami, kurzem, itp. Przy okazji wyrzuca się z szuflady przechowywany tam w zapomnianym już celu korek od szampana, ogarek świecy, ulubiony, ale niestety z nieuleczalnie pękniętą rączką nóż do ziemniaków. No, teraz szuflada wygląda całkiem inaczej, aż miło spojrzeć. I aż strach zaglądać do sąsiedniej, tam to dopiero misz masz. Nie, to po prostu niedopuszczalne, żeby tylko w połowie szafki panował porządek...

Tym sposobem perfekcjonizm w zakresie porządkowania kredensu doprowadza do tego, że inne obowiązki schodzą na plan dalszy albo o nich zapominamy, wybiła dziewiętnasta, sklep zamknięty, a tu chleba ledwie tyle, co na trzy skibki...

Napad perfekcjonizmu może przydarzyć się i przy czym innym: ot, trzeba szybko zaszyć dziurę w męzowskim płaszczu. Zamówienie nadeszło niespodziewanie, ale ujawnia się przy tym, że kieszeń w ogóle jest przetarta. Trzeba ją naprawić porządnie, zaszyć dziury na okrętkę to bezsensowne partactwo. Więc kłękamy przed szufladą z różnymi skrawkami materiałów, medytujemy, który się najlepiej nada, aż tu mąż na nas krzyczy, że się guzdrzemy, a on już musi wychodzić. Jakoż i wychodzi, ale z dziurawą kieszenią i trzaskając drzwiami. No dobrze, znamy to, znamy, tylko co to ma wspólnego z lenistwem? To już prędzej nadmierna pracowitość, zgoła pracoholizm...

Pracoholizm to poważna przypadłość, warta szerszego opisanie, jednak perfekcjonizm to co innego. U panów wysokie wymagania wobec materiału i narzędzi służą odsunięciu kielicha goryczy, jakim jest naprawienie schodka u altanki. U pań kielichem goryczy bywa wszelkie inne zajęcie czekające w kolejce na swój czas. Perfekcyjne, a nie planowane wykonanie jakiejś czynności jest czasem rodzajem zabawy: ot, tak przyjemnie nam się akurat czyści łyżeczki...

Ale damski perfekcjonizm ma i inne, niebezpieczniejsze podłoże: otóż wypełniając pani czas od świtu do nocy, daje jej z pozoru wiarygodny pretekst, aby odgrywała rolę zaharowanej męczennicy. Tak to bowiem się dzieje, że niektórym paniom jest konieczne potrzebne do szczęścia bycie nieszczęśliwą. Dziwaczne to, niezdrowe i niebezpieczne dla otoczenia, dlatego gdy napadnie nas poczucie moralnego przymusu, domagającego się

natychmiastowego, gruntownego przefasonowania np. firanek, zapytajmy najpierw siebie: czy aby naprawdę to musi być teraz zrobione i czy naprawdę chodzi nam tylko o firanki.



## MUSZĘ CZY CHCĘ?

Kategorycznie, a zarazem jakoś tak godnie brzmiące słówko „muszę” kojarzy się z obowiązkiem, z poczuciem obowiązku (to nie to samo!), także z przepracowaniem, nawet z poświęceniem. Któżby podejrzewał je o jakieś skryte flirty, ba – konszachty z lenistwem?

A jednak... Poprzednio opisałam działania pana i pani perfekcjonistów. Pan uważał, że wszystko musi być zrobione superporządnie. A więc odkładał rozpoczęcie naprawy schodka do momentu, kiedy uda mu się zgromadzić naraz i dobre narzędzia, i dobry materiał, które to przedmioty powinny jeszcze trafić w dobry czas – kiedy nie pada, kiedy inna robota nie popędza... Pan perfekcjonista wyklada swoje racje przekonująco i logicznie, tylko dziecko może ich nie pojąć. No i właśnie dziecko „nie pojmując”, trafia czasem w sedno: „E tam, tata tylko tak gada o dwucalowej desce, a naprawę to mu się robić nie chce”.

Pani perfekcjonistka ogarnięta nagłym a nieodpartym musum wyczyszczenia sztucców i kredensu też może usłyszeć: „Zajmujesz się głupstwami, a robota czeka!” Na takie *dicta* pan się obraża, pani jest rozżalona. Niesłusznie.

Ludzie starsi, starej daty, zwykli mówić podlotkom upierającym się, że muszą zająć taką a taką spódnicę, chłopcom, że muszą zająć jechać na mecz: „Tylko umrzeć człowiek musi”.

Tak radykalne postawienie sprawy, choć zasadniczo nie do odparcia, nie uwzględnia faktu, że póki żyjemy, pewne rzeczy jednak naprawdę musimy robić, po prostu żeby żyć. I że istnieją obowiązki, przymusy i musy, będące konsekwencją naszego wcześniejszego wyboru, czasem w pełni suwerennego. Jeśli decyduję się założyć rodzinę, to muszę potem zapewnić jej środki utrzymania. Jeśli chcę iść na studia, muszę potem słuchać wykładów i zdawać egzaminy. Jest to tak oczywiste, jak to, że jeśli chcę pływać, muszę wleźć do wody.

Istnieje jednak wcale liczne stado przypadków, kiedy „muszę” znaczy właściwie: „chcę”. Przypadki skrajne to owa dziewczyna, która musi mieć bluzkę, i chłopiec, który musi iść na mecz. Mamy tu do czynienia w gruncie rzeczy tylko z niewłaściwym użyciem słowa: każde z nich, zamiast „muszę” powinno powiedzieć: „okropnie, szalenie, do obłędu chcę”.

Ludzie dojrzały są bardziej wprawni i przebiegli w samooszukiwaniu się i mydleniu oczu innym. Za wzniosłym „muszę to zrobić” kryje się często: „Robię to, bo nie chce mi się robić tamtego” albo „Chcę to zrobić, bo mnie to bawi”.

Co do mydlenia oczu innym, to z całym cynizmem trzeba stwierdzić, że niekiedy jest potrzebne. Przyznaj się tylko, że lubisz prasować, to panowie z twojego domu będą ci wrzucać do prania „trzy koszule w jeden dzień”, aż w końcu je znieńdździesz. Ale przed sobą radzę nie udawać, przeciwnie, pilnie dociekać prawdy: chcę czy muszę? Bo uświadomienie sobie, że jakieś zajęcie wykonuję, gdyż je po prostu lubię i chcę wykonywać, przesuwa je ze strefy obowiązkowej w przyjemnościową, daje nam luz i poczucie, że jednak nie całkiem jesteśmy zaharowaną szkapą roboczą.

Przykład z własnego doświadczenia: wiele tekstów piszę ostatnio pod przymusem ekonomicznym, jest tego w końcu za dużo, coś trzeba by skreślić. Najbardziej kwalifikuje się do skreślenia comiesięczne opowiadanie dla radia, bo pieniądze za to są jakby żadne, sława – tak samo, widoki na wydanie drukiem też żadne (wydawcy obecnie w ogóle z niesmakiem traktują propozycje pisarzy polskich, a już opowiadań unikają jak ognia). Utrwalenie na piśmie różnych dziwnych bądź pouczających zdarzeń z mojego życia bawi mnie jednak i cieszy, więc jeśli mówię, że „muszę” w tym tygodniu napisać kolejną opowiadkę, to znaczy

to tylko tyle, że mam pamiętać o terminie. Kiedy naprawdę będę musiała coś skreślić, to już prędzej jakąś publicystykę niż tamte opowiadki.

Ten przykład jest dość specyficzny, ale mam w zapasie i inne, o bardziej ogólnym zastosowaniu. Na przykład – ogródek.

Uprawianie działki czy ogródka to dziedzina, na której najlepiej można przetestować pytanie postawione w tytule rozdziału. Twierdzą stanowczo, że ogrodem zajmują się tylko ci, którzy chcą. Pośrednim dowodem na to są nierzadko spotykane ogródki czy ogrody przy willach lub domkach, zapuszczone w sposób haniebny, aż się serce kraje. Oczywiście serce się kraje tylko temu, kto „ogródkowanie” lubi. Właściciele zaniedbanych spłachciów ziemi nie lubią, więc się w nich nie babrzą, bo nie muszą i już.

Ogródkowicze zresztą sami ochoczo wyznają, że praca na zagonkach to najlepszy relaks, a korzyści z niej są też raczej przyjemnościowe („miło jest mieć własny, świeży owoc, o którym wiadomo, że nikt go nie polał ixi czy innym świństwem”). Tym bardziej należy więc ich ostrzec, żeby nie wpędzili się w maliny fatalnym słówkiem „muszę”, bo wtedy koniec z relaksem, sami sobie zepsujemy przyjemność.

W istocie jest w ogrodzie tylko niewiele prac, które naprawdę muszą być zrobione w porze nie przez nas wybranej. W październiku muszą być posadzone tulipany, a wykopane dalia, latem zagonki muszą być w porę odchwaszczone i podlewane, owoce zaś zebrane we właściwym czasie. Z tym, że zbiór owoców to samo szczęście, a co do dali i tulipanów, to jeśli bardzo nie lubimy wykopywania i sadzenia, to przecież jest tyle innych pięknych kwiatów z rodzaju bylin, które mogą nam zastąpić i dalia, i tulipany.

Ale jeśli bądź to ze względów propagandowych (żeby wyprawom do ogródka nadać pozór wyższej konieczności), bądź to dla samousprawiedliwienia („ja tu się bawię w obcinanie róż, a powinnam umyć okna”) zainfekujemy się słówkiem „muszę”, łącno może się zdarzyć, że staniemy się więźniem własnej propagandy i po pewnym czasie takiej autoindoktrynacji uwierzmy, że naprawdę musimy, a ogródkowanie stanie się takim samym punktem w programie jak szorowanie garnków (chyba do absolutnych wyjątków należą panie, które to lubią!). Jeśli w dodatku ogarnie nas przy tym perfekcjonizm, przymus psychiczny i wpędzi nas w nieustanne czuwanie z nożem w garści nad grządką, żeby dziabnąć chwast, ledwie się pokaże, to po pewnym czasie zniechęcimy to, co miało i mogło być dla nas źródłem uciechy.

Co do mnie, bardzo się w tej mierze pilnuję i powtarzam sobie często: możesz, ale nie musisz, i zgodnie z tą zasadą eliminuję te uprawy, które są mi niemiłe, i te prace, które – niestety, ach, niestety – stają się dla mnie już za ciężkie. Albo te, które nie mają większego sensu. Przez parę lat z niejakim przestachem patrzyłam na gruszę, która co drugi rok ściągała na mnie klęskę urodzaju. „O jeny, jak ja to wszystko poradzę zawekować i kto to potem zje?”. Aż odkryłam, że przecież wcale nie muszę wekować – o ileż łatwiej, przyjemniej, sympatyczniej po prostu nadmiar owoców rozdać – znajomym, sąsiadom... I po kłopotach, i po tym nieznośnym „muszę”.

Taktykę stosowaną w ogródkowaniu można rozszerzyć na więcej dziedzin niż się z pozoru wydaje. Przy pracach wybranych dobrowolnie, lubianych istnieje bowiem coś w rodzaju punktu krytycznego masy: zbyt duża domieszka czynności nielubianych albo w ogóle zbyt dużo samej pracy. Wtedy trzeba sobie powiedzieć: stop, robię to tylko dlatego, że chcę, a nie, że muszę. Skracam front, czynności nielubiane porzucam albo zwalam na innych, inne ograniczam do miary swoich możliwości. Tyle jest robót, które naprawdę muszę wykonać, więc nie ma głupich – nie będę się truć przemianami przyjemności w przymus.

## INTERMEZZO: JAK SOBIE ZMARNOWAŁAM SOBOTĘ

Wczesną jesienią przydarzyło mi się spiętrzenie robót i zadań prowadzące jak strzełił do stanu zwanego „padaniem na pysk”. Wiadomo, że takich spiętrzeń należy unikać jak ognia, no ale się zdarza: zbiegają się dwie sprawy nie do wyminięcia, trudno, trzeba się zmobilizować. Na styk, na siłę, można dać radę. Aż tu niespodziewanie dopałała się trzecia rzecz i masz babo placek. Spięci, zestresowani, podejmujemy błędne decyzje, popełniamy idiotyczne wydatki, wdajemy się w niepotrzebne scysje. Potem wszystko stopniowo mija, ale cośmy w stanie „padania na pysk” narozrabiali, to już nasze i się nie odstanie. Jak to mówił Marcel Proust: „Już dawno zapomnieliśmy o przepięknych zachodach słońca oglądanych nad jeziorem, a do dziś dokucza nam reumatyzm wtedy nabyty”.

Czując tedy, że mam już swoje za kołnierzem, a nie chcąc dalej mnożyć fałszywych kroków, powiedziałam sobie w pewien piątek: „koniec, fajrant, weekend, muszę na trochę się wyprzęć, bo inaczej zrobię coś strasznego”.

Akurat miałam zaproszenie do teatru na uroczyste przedstawienie z okazji jubileuszu znakomitej aktorki, w dodatku ważną rolę w spektaklu miała grać i druga artystka, którą też cenię i podziwiam, więc nawet miałam godziwy pretekst, żeby sobie zafundować relaks. Nie mogę przecież iść do teatru skonana...

W piątek podszykowałam obiady aż na niedzielę, zaopatrzyłam dom w co trzeba i jeszcze raz poszłam do fryzjera – zawsze po ostrzyżeniu żwawiej się czuję. Na sobotę nie zostało mi prawie nic, późnym rankiem (był uroczy) wybrałam się na targowisko spacerkiem, po zakupy nie tyle uzupełniające, ile wręcz przyjemnościowe. Nie wiem, czy to sprawił podarowany sobie luz, czy przeciwnie – zamroczenie spowodowane poprzednim stresem, dość że kiedy zobaczyłam na straganie prześliczną wołowinę na zrazy, nie mogłam się oprzeć i kupiłam aż dwa kilogramy.

Tu muszę wyjaśnić, że do pięknej wołowiny mam po prostu słabość. Przez całe dziesięciolecie mordowałam się ze ścierwiastą „bez kości”, usiłując z niej wygospodarować z mizernym rezultatem coś podobnego do zrazów oglądanych na zachodnich reklamach. Byłam już skłonna przypuszczać, że tam w EWG hodują jakąś specjalną odmianę byków zrazowych, aliści nastał wolny rynek i w miejsce rąbanki bez kości pojawiły się poledwice, ligawy, zrazówki i co dusza zapragnie. Długo nie mogłam ochłonąć ze szczęścia i uwierzyć, że te cymesy są normalką, a nie nadzwyczajną okazją. Z czasem ochłonęłam, ale widać nie całkiem.

Z dwoma kilogramami wołowiny w siatce nabyłam jeszcze trochę pieczarek, pietruszkę, dziesięć jaj i już całkiem bezinteresownie, *en passant*, lustrowałam, co tam nowego przywieźli „ruscy”. Przy ruskich był tłok, raz i drugi ktoś mnie potracił, więc żeby nie tracić dobrego humoru, ruszyłam do domu.

Humor mi się jednak zmaćił, nie z powodu ruskich, tylko niesionej w siatce wołowiny. Psiakrew, będą ją musiała zamarynować, przecież nie można takiego pięknego kawałka wrzucić do zamrażalnika, bez sensu, potem to by już nie było to. Zaraz, czy ja mam wszystko do zrazów? Cebula jest, pieczarki, kupione co prawda bez premedytacji, też, ogórki mam swoje, boczek. Boczku nie mam, trzeba kupić.

U rzeźnika kolejka była niedzisiejsza, zawijaśna, no ale trudno, do zrazów musi być boczek. Wróciłam do domu znacznie mniej na luzie niż wyszłam. Przy rozpakowywaniu torby okazało się, że „przy ruskich” ktoś mi zdrowo przyłożył w siatkę, bo jedno jajko było

rozbite na miążgę, a pięć mocno potłuczonych. Co z nimi zrobić? Nie ma rady, m u s z ę coś upiec. Może placek ze śliwkami? Wszyscy lubią, a śliwki w ogrodzie jeszcze są...

Są, są, i to ile! Wiatr nastręcał ich prawie pół wiaderka, co nie dziw, bo były bardzo dojrzałe i trochę zwarzone nocnym przymrozkiem. Chcąc nie chcąc pozbierałam wszystkie, po wyplukaniu było jasne, że się długo nie utrzymają, więc m u s i a ł a m odpestkować wszystkie, ładniejsze do placka, gorsze na powidła. Kiedy placek był w piecu, zamarynowałam wołowinę i stwierdziłam, że już jestem trochę spóźniona z obiadem.

Więc m u s i a ł a m się spieszyć, przy zmywaniu naczyń nawet żwawo, bo z racji pieczenia i smażenia było ich więcej niż zwykle. Potem jeszcze m u s i a ł a m wyprasować odzienie do teatru, bo zaplanowany strój wydał mi się, po półgodzinie spędzonej w cieniu śliw, za lekki na jesienny chłodek, jak życie potem pokazało – słusznie.

I tak ni z tego ni z owego zrobiła się szóstka, czas najwyższy, żeby ubierać się i wychodzić. Po drodze kupiłam kwiaty dla fetowanej aktorki, nie w tej kwiaciarni, co chciałam, i nie takie, jak zamierzałam, w teatrze oddałam je też nie wtedy i nie tam, gdzie należało. Poranny luz diabli wzięli, czułam się znowu spięta, zagoniona i niepewna siebie, sztuka mnie niby rozprężyła, ale nie zanadto, bo wywołała refleksje nad miarę smutne.

Nad miarę, bo choć to nie było nic rozrywkowego, toć przecież i nie rozpaczliwa beznadzieja w rodzaju angielskich pił „młodych gniewnych”. Tak czy owak w przerwie wolałam samotnie palić w kącie papierosa niż podejść do znajomych, których widziałam zresztą całe mrowie... Po spektaklu wzięłam się na tyle w garść, żeby w foyer podejść po kolei z kieliszkiem w rękę do obu podziwianych artystek. Chciałam im powiedzieć coś miłego, błyskotliwego, z *esprit*, ale nie wyszło. Pobredziłam niemrawo trzy po trzy, dopiłam wino i zaczęłam rozglądać się za zmotoryzowanymi znajomymi. Na szczęście się znaleźli.

W niedzielę, mimo że obiad był jakby gotowy, m u s i a ł a m zająć się zrazami, bo by się zamarynowały na śmierć.

Przy poobiedniej herbacie mąż powiedział całkiem dobrodusznie i niewinnie:

- Słuchaj, musisz...

- Nic nie muszę! – przerwałam ostro i stanowczo. Mój Boże, trzeba było powiedzieć to sobie trzydzieści sześć godzin wcześniej. Nie spartaczyłabym soboty...

## LEŃ KONTRA LEŃ

Dotychczas podawałam sposoby obchodzenia się z własnym lenistwem. Pora teraz pomyśleć, co zrobić z cudzym. Otóż rzeczą istotną jest rozpoznanie, z jakim rodzajem lenia przyjdzie nam się borykać, bo od tego zależy taktyka. Lenie (pisałam o tym na początku, ale czytelnicy pewnie zapomnieli, więc powtarzam) dzielą się na leni absolutnych (tj. takich, którym się w ogóle nic robić nie chce), kryptoleni (co to zrobią wszystko, byle nie to, co do nich należy), półleni (robią, owszem, ale tylko pół tego, na co ich stać) i pseudoleni (czyli pracowitą resztę, którą lenistwo tylko od czasu do czasu napada).

Na lenia absolutnego, jeśli to ktoś obcy, trzeba od razu machnąć ręką i obchodzić z daleka. Gorzej, gdy go mamy w domu, a może to zdarzyć się i w najporządniejszej rodzinie. Trzeba generalnie przyjąć, że na lenistwo absolutne nie ma lekarstwa i darować sobie wszelkie akcje pedagogiczne, pouczenia, a już zwłaszcza tzw. świecenie dobrym przykładem. Leń widząc np., jak żona męczy się przy mocowaniu karniszy (a on przecież powinien to robić), co najwyżej zawoła ze swojej kanapy: „daj więcej gipsu, bo kołki wylecą”.

Jednej zasady trzeba się wobec niego twardo trzymać: nie robić za niego. Jest taka ludowa anegdotka, właściwie porzekadło „Nygus, mas jaje!” – „Nie chcę, bo nie odłubane”. – „No to nie” – odpowiemy na to – jak nie chcesz, to nie chcesz, będzie do sałatki”. Leniowi albo zrobi się żal jajka i jednak odłubie, albo nie i zje chleb z dżemem. Jego zmartwienie.

Tak samo, broń Boże, nie należy za niego robić porządku. „Nie wiesz, gdzie mogłem położyć mój brązowy szalik?” – „Nie wiem – odpowiadamy bez litości – Może w przedpokoju”. I koniec, kropka, spokojna głowa, jak będzie musiał, to sobie poradzi, a jak nie poradzi – to widać nie musiał.

To wszystko dotyczy oczywiście tylko dorosłych, dzieci niestety trzeba pilnować, bo z lenistwa gotowe chodzić głodne i latać goło po mrozie. Ale tylko – pilnować, nie robić za nie, bo się niczego nie nauczą i wyrosną z nich niekoniecznie lenie absolutne, ale prawdopodobnie – życiowe niezguły.

Więc wobec lenia absolutnego trzeba mieć „szklane oczy”, nie liczyć na niego, ale w zamian – w niczym go nie wyręczać. To jest maksimum samoobrony, które jeszcze ma jakiś sens. I o dziwo, może czasem spowodować pozytywne zmiany. Nie wyobrażajmy sobie bowiem lenia absolutnego jako tępego, gnuśnego grzdyla z wiecznie zaspanymi oczyma. Lenie absolutne bywają wesołe, pomysłowe, dowcipne, ba, zgoła sympatyczne. I jeśli „każdy głupi ma swój rozum”, to tym bardziej ma go leń. Lenistwo absolutne też ma granice – wyznacza je w pewnych obszarach instynkt samozachowawczy (żeby żyć, coś jednak trzeba robić), z drugiej – nuda. Znając dobrze naszego domowego lenia, możemy wypatrzeć taki moment, kiedy rozkosze lenistwa przybledną wobec dolegliwości nudy. Wtedy spróbujemy go dopaść i wciągnąć do jakiejś roboty, byle choć trochę zabawnej albo ciekawej.

Ale na ogół – trzeba się po prostu przyzwyczaić, że on już taki jest. „Take it easy” – jak mówią Amerykanie. W końcu i on stworzenie boskie, to raz, a po drugie – jeśli już nie mamy z niego pociechy, to przynajmniej nie psujmy sobie z jego powodu nerwów.

O ile przed leniem absolutnym można bronić się właściwie tylko stoickim spokojem, to kryptoleń bywa czasem pożyteczny i to nawet bardzo. Jeśli tylko potrafimy go z wyrachowaniem, ba, wręcz z cynizmem wykorzystać.

Modelowy sposób postępowania z kryptoleniem przedstawia Wańkowicz w rozdziale wstępnym do poważnego przecież dzieła „Na tropach Smećka”. Znajduje się na przystani na

Wiśle, czeka go niemiły wysiłek montowania kajaka. Zabierają się do tego wraz z córką z wyrafinowaną, bijącą w oczy niezdarnością. Byczący się na przystani młodzieńcy na widok tego niezgulstwa nie wytrzymują, żeby się nie popisać: najpierw zaczynają doradzać, potem pokazywać, jak to się robi, w końcu raz dwa składają cały kajak, jeszcze bagaże znoszą. Odpowiednio zażyci, wykonali ochoczo to, czego by im się nie chciało robić za żadne pieniądze.

Podobnego fortelu użył Tomek Sawyer w słynnej scenie malowania płotu, udając, że za nic w świecie nie odstąpi nikomu tej odpowiedzialnej pracy. Kryptoleń poleci jak na skrzydłach na arcynudną i niepotrzebną naradę, jeśli tylko szef mu zasugeruje, że to impreza bardzo ważna. Czasem zresztą i sugestii nie trzeba, wystarczy mu perspektywa oderwania się od biurka, od codziennej roboty.

W domu też można dla niego wymyśleć podobny scenariusz: zapędzić najpierw do bardzo niemiłego zajęcia, a samemu zebrać się do ciekawszego, np. do naprawy żelazka i jeszcze wykonywać to według wzoru Wańkowicza. Jest szansa jak 8:2, że po chwili zamienimy się rolami.

Czasem można go łapać „na ciekawość”. Ot, na przykład, porządkujemy strych albo piwnicę, w każdym razie miejsce, do którego nasz „krypuś” rzadko zagląda. Wołamy go „na chwileczkę”, żeby coś potrzymał czy przesunął, a następnie serdecznie dziękujemy. Krypuś jednak jeszcze stoi, przypatrując się graciarni, potem mówi np.: „Po co ty trzymasz ten kłopot, tylko zawadza”. – „Ach tak, masz rację. Weź go od razu i wywal, postaw koło kubłów na śmieci”. Być może krypuś na tym poprzestanie, wyniesie starą walizkę i już nie wróci, ale może i nie.

Na ogół jednak z kryptoleniem domowym trudno sobie poradzić, bo czując pismo nosem, wywiewa w plener załatwić niesłychanie ważne sprawy.

Inaczej ma się sprawa z kryptoleniem zewnętrznym. Tak się pechowo składa, że sąsiadów mam cholernie pracowitych (ale i uczynnych, więc nie narzekam), natomiast w dawnym miejscu zamieszkania populacja była widać inna, bo nie zliczę, ile gniazdek mi założyli, gałęzi nacięli, itp. panowie, którzy skądinąd mieli dwie lewe ręce i piasek w rękawach, gdy ich rodzone żony pędziły do podobnych robót.

Sprawa jest łatwa do wytłumaczenia. Dla kryptolenia wołanie o pomoc skądś z zewnątrz jest tą wymarzoną okazją, godziwym pretekstem, by odłożyć na później trzepanie dywanu czy mycie samochodu. Za jedno i drugie nie doczeka się specjalnych pochwał ani podziękowań, to raz. Po drugie – wezwanie do nagłego wypadku w sąsiedztwie może go od tych czynności w ogóle wybawić, bo zirytowana żona (odradzam najgoręcej ten sposób reakcji!) sama weźmie i wytrzepie czy wymyje. A nasz krypuś wróci po godzinie promieniejący, z poczuciem moralnej wyższości, bo dobry uczynek ma w jego skali wyższą rangę niż zwyczajny obowiązek.

Wobec kryptolenia należy więc grać rolę nieudacznika – wtedy będzie się dla niego „okazją”. Jeśli zaś mamy wyrzuty sumienia wobec jego domowników, to i na to jest rada: podeślemy im na odrodek naszego kryptusia. Jeśli to dobrze rozegrać, poleci z ochotą...

Pozostała mi jeszcze do omówienia strategia wobec półlenia, tj. takiego faceta, co to „mógłby, pragnąłby, gdyby”... Tacy ludzie są jak zła tanecznicza, której spódnica zawadza, żeby wykonać to, co może i nawet oficjalnie chce. Wobec tych osobników musimy przyjrzeć się dobrze owemu „gdyby”. „Gdyby co?” – spytamy za każdym razem ze słodką naiwnością. Czasem może się już na początku okazać, że żadnego „gdyby” nie ma: maszyna do pisania zreperowana, papier kupiony, tylko siadać i pisać. To jeśli chodzi o intelektualistę. A w sprawach praktycznych podobnie: jest pewien zapas gotówki, materiał leży w piwnicy, można stawiać płot choćby dziś. Albo: pełna lista numerów telefonów i adresów przyszykowana, siadaj i dzwoń, żeby zrealizować plan zmiany pracy na lepszą.

Bo z półleniem niestety jest tak, że połowę wstępnej pracy trzeba jednak za niego wykonać albo wyegzekwować na raty, tak żeby w momencie decydującego szturmującego już był przyparty do muru. Jeśli nasz półleń jest typem „żołnierza samochwała”, optymisty – fantasty, co to „ho-ho, czego by nie dokonał, gdyby”, sprawa jest prostsza. Mam ciotkę, którą los obdarzył takim egzemplarzem w roli męża. My z młodszej generacji uważaliśmy, że ciotka jest głupia, bo wierzy wujowym przechwałkom i planom. Ale ciotka wcale nie była głupia – oczywiście fantazje w rodzaju: „Pojedziemy do Australii, mam tam kumpla” puszczała mimo uszu, ale kiedy wuj „bajał” o tym, ile można by zarobić, obsiewając ich poletko wyłącznie nagietkami na nasiona (żyją w małym miasteczku), ze świętą cierpliwością i niezachwianą wiarą popychała go (nie trując!) krok po kroczku do dzieła. Zrobili rzeczywiście ciężkie pieniądze na tych nagietkach, teraz przymierzają się do wiesiołka.

Znacznie trudniejsza jest sprawa z półleniem pesymistą. Przede wszystkim umie on zapobiegawczo tak aranżować sytuację, że istotnie wyparowują z niej stopniowo szanse powodzenia: a to pokłóci się z kimś ważnym, a to pozwoli przelecieć koło nosa okazji zdobycia funduszu inwestycyjnego, itp. Jego pomysłowość w tym względzie jest wprost niewyczerpana. Tu więc należy przeprowadzić realistyczny rachunek: czy nam w ogóle opłaca się inwestować w uruchomienie rezerw aktywności lenia pesymisty. Bo co: zrobimy za niego pół roboty wstępnej (bez tego się nie obejdzie), a on i tak wykręci się sianem. Czasem więc rozumniej dać sobie w ogóle z nim spokój i działania aktywizująco-pedagogiczne skierować na innego członka rodziny (zespołu) rokującego lepsze nadzieje. A przed pesymizmem półlenia tylko się bronić.

To znaczy dokładnie: bronić się przed infekcją. Bo nygusowski pesymizm (pisałam już o tym) jest zaraźliwy, tym bardziej dziś, gdy tak wielu z nas ma przesłanki i ochotę, by mu się poddać. Tu więc trzeba zastosować wobec samego siebie chwyt, którym się posłużył w pobliżu wyspy syren Odyseusz wobec załogi: zalepił jej woskiem uszy i już. Gdy nasz leń pesymista zacznie swe syrenie pienia (bardziej podobne do wycia wilka lub hukania puszczyka niż do wyżej wymienionych śpiewów), zbywajmy go: „Tak, tak, to rzeczywiście straszne, ale przepraszam cię, muszę jeszcze skończyć” – wszystko jedno co, w domu jest zawsze coś do skończenia. Może się czasem zdarzyć (choć szanse nie są wielkie), że pozbawiony słuchacza puszczyk sam się znudzi swoimi jękami i zajmie się czymś pożytecznym. Albo i nie pożytecznym, ale w każdym razie będzie mniej truł, a to już sukces!

## ROBOTA, PRACA I TO TRZECIE

Właściwie, mówiąc o lenistwie, trzeba by najpierw powiedzieć coś o pracy, bo to ona jest „drugą stroną konfliktu”, to między pracą a próżniactwem trwają przepychanki. Zaniedbałam tego na początku, teraz więc chcę nadrobić.

Znakomity polski socjolog, Florian Znaniecki, w książce „Ludzie terażniejsi a cywilizacja przyszłości” (cennej do dziś, choć „cywilizacja przyszłości” już nadeszła) ma o pracy bardzo złe mniemanie. Uważa, że kształtuje ona ludzi zgorzkniałych, zawistnych, biernych społecznie, a jeśli już aktywnych, to w niesympatyczny, karierowiczowski i w gruncie rzeczy też aspołeczny sposób. Pracy przeciwstawia twórczość – działanie wolne od przymusu, suwerenne, skierowane na tworzenie wartości.

Można by zgodzić się ze wszystkimi epitetami, którymi Znaniecki obrzuca pracę, gdyby zamiast „praca” – powiedzieć „robotą”. A robotę zdefiniować jako czynności wykonywane tylko po to, żeby żyć i przeżyć, dla pensji, z musu.

Określenie „praca” wolę zachować dla tych czynności, które wprawdzie same w sobie dają niewielką satysfakcję, ale umiła je, a nawet uszlachetnia to, że wykonujemy je dla kogoś lub dla czegoś. Wie o tym i Znaniecki, tylko odmawia im miana pracy: „Matka, działając dla zadowolenia kochanego dziecka nie traktuje swej działalności jako „pracy” i nie stosuje do swych wysiłków zasady ekonomii; chce po prostu jak najwięcej dać dziecku. Nie jest więc to „praca”, lecz działalność społeczna, z punktu widzenia podmiotu obiektywnie twórcza”.

Z punktu widzenia podmiotu... Ten punkt widzenia jest niezmiernie istotny. Zależnie od niego to samo zajęcie może być robotą, wręcz harową, pracą i tym trzecim, które wahałabym się nazwać jak Znaniecki – twórczością, choć jest to coś podobnego.

Ta sama młoda kobieta, która z uśmiechem i czułością wyciera nosek swojemu dziecku, może – jako przedszkolanka – z ociąganiem, przeklinając los, z miną męczennicy odstawić kawę i podnieść się wreszcie ze stołka, żeby przejechać ligniną po buzi „temu wstrętnemu bachorowi, co to zawsze musi usmarkać się od ucha do ucha”. Ale może trafić się i taka, która równie czule wyciera nosy dzieciom swoim i cudzym, a nawet tym ostatnim czulej, bo „te biedactwa są daleko od mamy”. O takiej przedszkolance powiemy, że wykonuje swój zawód z powołania.

Szczęśliwy człowiek, który nie minął się z powołaniem, który w swoim zawodzie znajduje upodobanie i wyższy sens. A powołanym można być do każdego zawodu, także do tych zajęć, których Znaniecki nie nazwałby twórczymi: można być z powołania księgową, sprzedawczynią, kucharką, sprzątaczką (ho, i jeszcze jak!). Więc wolę to trzecie, co to, jak mówi Norwid: „bliskie idealnym znamionuje”, nazwać właśnie powołaniem. Ktoś uważający, że właśnie robi to, do czego jest stworzony, nie ma kłopotów z napadami lenistwa. Ze zmęczeniem, ze zniechęceniem, z problemami techniczno-organizacyjnymi – owszem. Ale ogólnie daje sobie z nimi radę tak jak każdy wykonujący jakąś pracę, a nawet lepiej. Więc „tym trzecim” w „Poradniku dla leni” nie ma się co zajmować. Lepiej przyjrzeć się „robotom” i „pracy”.



## ROBOTA ROBOCIE NIERÓWNA

„Robota jest robota, i zawsze jak na złość, roboty mamy potąd, roboty mamy dość” – mówi melancholijnie piosenka Okudźawy, którą lubię śpiewać, ale z którą niezupełnie się zgadzam. Bo jednak robota robocie nierówna, szczególnie z subiektywnego punktu widzenia. Spośród tak samo plus minus uciążliwych prac fizycznych jedne nam jakoś lepiej podchodzą, inne gorzej. Ja np. nawet lubię rąbać drzewo, natomiast nie cierpię piłowania. Bez specjalnych oporów zamiatam ulicę, ale zgarnianie śmieci do wiadra i wynoszenie ich do kubła jest mi niemiłe. A odgarnianie śniegu, chociaż wymaga większego wysiłku niż zamiatanie, bym wręcz lubiła, gdyby nie to, że zwykle włazi mi w paradę, kiedy mam co innego na głowie.

Podobnie ma się rzecz z owocami. Obieranie, drylowanie, wekowanie jest dla mnie przykrą koniecznością. Pasjami jednak lubię je zrywać i niepomna przestróg Zycha ze Zgorzelic (który, jak pamiętamy z „Krzyżaków”, mówił do swej żony: – „Jagna, jak ci pięćdziesiąt років minęło, to nie leż na gruszkę”. Jagna nie posłuchała i Zych został wdowcem) co roku ryzykuję skręcenie karku dla półgarnca nędznych wiśni z najwyższych gałęzi. Wiśnie są, jak mówię, kiepskie, i nie ma co sobie wmawiać, że te „podniebne” są lepsze. Ale to taka frajda wspinać się na palcach po konarze, wyciągać rękę jak tylko się da, żeby przyciągnąć witekę z gronem wiśniowych owoców, które w dodatku zachwycająco wyglądają wśród liści, na tle nieba, w słońcu...

Myślę, że znajomi, którzy mnie czasem na tym procederze przyłapują, stukają się dyskretnie w czoło albo podejrzewają o patologiczną pazerność. Ale fakt jest faktem: istnieją roboty fatygujące, które jednak lubimy. Więc nie ukrywajmy tego przed sobą i nie mówmy, że m u s i m y, kiedy c h c e m y. Tym sposobem wcale sporo robót przestanie być r o b o t ą. Nie chodzi o wysiłek, chodzi o nastawienie.

Jeszcze a propos stukania w czoło. Stara znajoma przypomniała mi niedawno scenkę z moich pierwszych lat małżeństwa, jeszcze wrocławskich. Zastała mnie raz w ogrodzie przy sprzątaniu gruzu po murarzach. Nie chcąc przeszkadzać, szybko się pożegnała, ale odchodząc dosłyszała, jak mówię do gosposi – „Stasiu, to ty idź na górę robić sałatkę na kolację, a ja już tę resztę gruzu wywiozę”. Taki podział pracy był dla mojej znajomej niepojęty, dla mnie zupełnie oczywisty: wolałam pchać taczkę z gruzem niż dziubdziać sałatkę. Dziubdziania nie lubię do dziś, tym niemniej sałatki robię teraz seryjnie, bo lata rutyny sprawiły swoje. To co przedtem było punktem w rozkładzie zajęć, teraz wykonuję mimochodem, niewiele dłużej niż krojenie chleba czy wędliny. Mało tego, nawet mnie bawi eksperymentowanie z sałatką, dodawanie owoców raz takich, raz innych... Poza tym miło pomyśleć, że domownikom będzie smakować – jeśli już robię coś, czego w zasadzie nie lubię, to niech to przynajmniej będzie szybko i dobrze.

I tak to sobie przez lata przesuwałam robotę do sfery pracy albo i nawet zabawy. W końcu zostało mi jej niezbyt wiele, a i tej się pozbywam. Np. trzepanie dywanu: nie cierpię tumanów kurzu, w dodatku nigdy nie wytrzępię go dobrze, bo się szybko zasapię (przekłete papierosy – ludzie, jeśli możecie, rzućcie to świństwo, a najlepiej nie zaczynajcie!). Więc z całym cynizmem zwałam to przykre zajęcie na innych i już.

Bo od „roboty” trzeba uciekać. To zupełnie co innego niż praca.

## PRACUSIU, ZASTANÓW SIĘ...

Powiedziała mi ostatnio dobra znajoma: „pisziesz wciąż, jak przechytrzyć własne lenistwo, a mogłabyś też napisać, jak przechytrzyć idiotyczną pracowitość, która pcha nas od roboty do roboty, czy trza, czy nie trza”.

Niezły to temat na zakończenie tego poradnika. Anglosasi znają jednostkę chorobową pod nazwą *workaholism*, dziwadło językowe złożone z *work* (praca) i *alcoholism* (wiadomo), w sumie: nałóg pracy, pracoholizm (pozwólmy sobie i my na dziwadło słowotwórcze).

W pracoholizm popadają często ludzie obowiązkowi albo przymuszani okolicznościami do bezustannego wysiłku. Trafi im się taki okres w życiu, kiedy muszą być zajęci od świtu do nocy, po jakimś czasie nie muszą, ale cóż – już im tak zostało, przyzwyczaili się i nie umieją inaczej. Sama pamiętam coś takiego z własnego życia, kiedyśmy byli na dorobku, po uszy w długach, córeczka miała po dziesięć angin rocznie, nie mogłam wtedy pozwolić sobie na nic rozrywkowego. Ale wyleźliśmy z długów, zarabialiśmy lepiej, córeczka przestała chorować i pewnego dnia odkryłam, że po kolacji już nie mam nic do roboty. Było to odkrycie oszałamiające: cóż robić z takim morzem czasu? „Nie miała baba kłopotu”, zaczęła pisać powieść i tym sposobem wrobiłam się na dwa lata, a i na dalsze też. Czego zresztą nie żałuję, bo powieściopisarstwo bez wątpienia uchroniło mnie przed wieloma jeszcze głępszymi zajęciami, a poza tym od czasu do czasu nieźle mnie bawiło. No i stanowiło jakiś wentyl bezpieczeństwa rozładowujący wewnętrzne napięcia.

Póki ktoś pracuje nie dlatego, że musi, ale że chce, to jeszcze nie jest pracoholikiem. „Każdy z nas lub prawie każdy – pisze Władysław Tatarkiewicz w mądrym i uroczym szkicu pt. „Ciekawość” – ma swój zawód; najpierw go ma, bo mieć musi, a potem go lubi”. A jak lubi, to już wszystko w porządku.

Przedtem zaś wielki uczony wyznaje: „Niegdyś chciałem tylko rozrywek, potem rozrywek i pracy, a teraz wolę pracować przy mym biurku niż poszukiwać rozrywki; to tylko młodych praca męczy, a starszych rozrywki męczą więcej niż praca”. Przytoczyłam gdzieś na początku tego cyklu zdanie Baudelaire'a o tym, że jak się dobrze zastanowić, to jeszcze praca jest najmniej nudna ze wszystkiego. Tatarkiewicz by powiedział: najciekawsza...

Mimo to jednak, jeśli tkwimy po uszy w pracy nawet lubianej, nawet uważanej za ciekawą, a przecież tłucze nam się po sercu i umyśle jakieś uczucie krzywdy, straty – o, to trzeba się sobie dobrze przypatrzeć.

Sławny poeta, ale poza tym nicpoń i opryszek, Franciszek Villon, wyznaje w „Wielkim testamentie”:

*„Wiem ja, iż gdybym był studiował  
w płochy młodości lata prędkie  
i w obyczajy zacnym chował –  
dom miałbym i posłanie miętkie.  
Ale cóż, gnałem precz od szkoły,  
na pustej trawiąc czasy zabawie.  
Kiedy to piszę dziś, na poły  
omalże serca wnet nie skrwawię...”*

Otóż niejeden pracuś, co pilnie studiował i pracował, odwrotnie niż Villon krwawi sobie serce z żalu, że ominęła go pusta zabawa, „radość, szaleństwo, hopsasa” (jak powiada Kłapouchy). W pewnym sensie jest to nieuniknione, zawsze tam człowiekowi za czymś żal,

wszystkiego nie można mieć. Kiedy więc za oknem wabi nas piękne niebo albo nastęcza się okazja zobaczenia wymarzonej Florencji, albo jeszcze coś innego, to przypomnijmy sobie mistrza z Czarnolasu: „Miło szaleć, kiedy czas po temu” i zwyczajnie rzućmy w diabły pracę.

Ona i tak cierpliwie na nas poczeka.

## UCIECZKA W PRACĘ

Jeden lubi koncerty w filharmonii, drugi mecze piłkarskie, i nikogo ta różność gustów nie dziwi. Zdziwienie natomiast wywołuje ten, który nie lubi ani jednego, ani drugiego, a za to – mycie okien, malowanie płotu czy coś podobnego, uchodzącego w potocznym mniemaniu za niemiłą robotę. Mniemanie takie jest na tyle powszechne, że miłośnik małych robót stolarskich albo peklowania mięsa boi się przyznać, że robi, bo lubi. Głosi więc wszem i wobec, że to wyższa konieczność zmusza go do harówki i pozbawia możliwości korzystania z uciech światowych.

Póki głosi, to głosi, nie ma sprawy. Gorzej, jeśli sam w to uwierzy. Wyhodzi w sobie bowiem wówczas, ani się spostrzegłszy, dorodny oset rozżalenia i pretensji, domagać się będzie współczucia i wdzięczności za to, że robi to, co lubi, a rezygnuje z tego, co go nudzi (mecze, koncert). Może wtedy stać się niemiły ludziom i sobie samemu (człowiek skwaszony najczęściej kwasu konsumuje osobiście), a co najgorsze: zepsuć sobie całą radość z lubianego zajęcia.

Miejmy więc odwagę cywilną i nie dajmy się skołować krewnym i znajomym, którzy na siłę chcą nas oderwać od „harówki” i rozerwać w sposób wcale nas nie bawiący. Ale...

Ale w niczym nie należy przesadzać. Nawet jeśli wykonujemy pewne prace z dobrej woli i z satysfakcją, strzeżmy się monokultury, stosujmy płodozmian zajęciovą. Bo może się gładko zdarzyć, że tak jak konik polny przeskakał życie, tak i mrówka może je gruntownie przedreptać. Bez żadnej potrzeby i przymusu możemy się pozbawić różnorodności doznań i przeżyć, radości, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. Więc tych krewnych i znajomych, usiłujących nas rozerwać, tak zupełnie i ze szczętem nie lekceważmy.

Kto w końcu nie przeżył i takiego momentu, kiedy żegnając przyjaciela mówił ze szczerego serca: „Dziękuję ci, że mnie wyciągnąłeś z domu. Ta wycieczka (przedstawienie, wizyta, film czy tp.) była wspaniałym przeżyciem...”

Pograżanie się w pracy może być jednak i czymś znacznie groźniejszym niż nieudolna gospodarka na „poletku Pana Boga”, jakim jest nasze życie. Może być naprawdę pograżaniem się – w mizantropii, w samotności, w niechęci do świata. Człowiek bezustannie zajęty mawia niekiedy, że to robota sama tak go wciąga, że nie może się uwolnić... Że nie może się uwolnić, w to wierzę. Tylko że nie praca go wciąga, ale on sam w nią ucieka. Przed czym? Ba, żeby na to odpowiedzieć, trzeba nie felietonisty, ale psychoanalityka i to dobrego.

Medycynie znane jest zjawisko „ucieczki w chorobę”. Ktoś nie mogąc w pewnym momencie znieść napięcia i stresów, zapada ni z tego ni z owego na grypę, na „korzonki” (zapada naprawdę, nie symulancko) i tym sposobem zyskuje trochę luzu. Otóż namiętna, obsesyjna pracowitość niektórych ludzi każe mi podejrzewać, że coś się z nimi dzieje niedobrego. Z pozoru ich działania wydają się racjonalne, przy bliższym wejrzeniu jednak – bezsensowne, przesadne. Na co mu to? – pytamy się, gdy ktoś bez widocznej potrzeby męczy się np. na kursach hiszpańskiego, albo bierze zlecenie za zleceniem, żeby gromadzić posag dla wnuczki, której jeszcze długo nie będzie na tym świecie.

Takiemu człowiekowi należałoby pomóc, bo jego ucieczka w pracę ma wiele znamion autoagresji, jakiegoś takiego mszczenia się nad sobą i światem. Rzecz jednak w tym, że nie znając przyczyn, nie usunie się skutków, a delikwent nie ujawni przyczyn byle komu, skoro skrywa je przed sobą samym. Jeśli jednak ktoś sam czuje, że sobie wyszukuje robotę, że robi coś tylko po to, żeby coś robić, może sobie w cichości ducha spróbować odpowiedzieć na

parę pytań. Z których pierwsze, podstawowe, brzmi: przed czym ja uciekam w pracę? Przed bliskimi, których nie mogę znieść albo nie mogę znieść ich kłopotów, na które nic nie mogę poradzić? Przed życiem publicznym, które wydaje mi się nieznośne, obrzydliwe i przytłaczające? Przed własnymi ambicjami, żeby znaleźć pretekst, wytłumaczenie, dlaczego ich nie realizuję? Przed nie lubianym, źle wybranym zawodem, w którym nie mogę być w pełni człowiekiem? Przed samym sobą, bo nie mogę siebie ścierpieć, swoich błędów i grzechów?

Wypisawszy tę listę pytań, uświadomiłam sobie, że dotyczą one tych samych trudności z sobą, ludźmi i światem, które wpędzają niejednego w alkoholizm. Z dwojga złego już lepiej uciekać od trudności w malowanie okien czy lekcje hiszpańskiego niż do knajpy. Mniej to kosztuje i mniej szkodzi bliskim. Ale nie sądzmy, że w ogóle nie szkodzi, a tym bardziej nie upatrujemy w wiecznej krzątaninie tytułu do chwały i wdzięczności.

Skrajny pracoholizm jest chorobą równie ciężką, jak totalna niemożność. Cóż może z nich wyleczyć? Chyba tylko „miłość, co słońce porusza i gwiazdy”. To ostatnie zdanie zabrzmiało mi zbyt patetycznie. Znak to, że „przenosi mnie” w inne regiony myślenia, więc pora kończyć poradnik.

Co niniejszym czynię, dziękując czytelnikom za życzliwą uwagę.

## Notka o Autorce

Janina Wieczerska, autorka poważnych powieści dla dorosłych i pogodnych dla młodzieży, krytyk literacki, ceniony publicysta prasy gdańskiej, w tej książce pojawia się czytelnikom w nie znanej dotąd postaci: z kopyścią, wiertarką albo szpadlem w dłoni, jako człowiek zmagający się z oporną materią życia codziennego.

Wbrew przekornemu tytułowi jest to poradnik dla tych, których poczucie obowiązku lub okoliczności wpędzają czasem w stan obłądnego przepracowania, a potem w wyrzuty sumienia, że nie dają rady, że są leniami i w ogóle do niczego.

Autorka podpowiada im praktyczne sposoby ułatwiania sobie pracy, więcej jednak – sporo psychologicznych chwytów radzenia sobie z pseudoleniństwem.

Rady i sposoby wyłożone są przy tym z humorem i autoironią, co sprawia, że **Poradnik dla leni** jest po prostu bardzo zabawny.